

# BLIZNY

Nigdy nie godziłam się  
z teorią dziedziczności.  
Dziedziczenia bezrobocia, alkoholizmu...  
Nie wierzę w fatum.  
Ale ten zaklęty krąg powielanych  
schematów zdawał się  
niezniszczalny.

KATARZYNA MICHALIK-JAWORSKA



KATARZYNA MICHALIK-JAWORSKA

# BLIZNY



Dobra Literatura

Wydawnictwo Dobra Literatura  
Słupsk 2015

# Modlitwa bohaterów

*Na brednię naszą i na naszą nędzę  
Na zatwardziałość w naszym szaleństwie  
I na naszego głodu głośny krzyk  
Na dom nasz który opuściły sny  
Na naszą mowę wielce bełkotliwą  
Na rozpaczliwie niedorzeczną miłość  
I na znikomość wszelkich naszych prac  
Na koszmar nocy i na bezsens dnia  
Na naszych mistrzów bezradnych i smutnych  
Oraz na sędziów ponuro okrutnych  
Na biedne matki dogorywające  
Przez nasze winy chcące i niechcące  
Na nasze serca obrzękłe wątroby  
Na nasze wargi popękane szorstkie  
Na roztrzęsione fatalnie ręce  
Oraz na mózgi w daremnej męce  
I na te płuca co bez powietrza  
Na strach bezsenny na koszmary zegar  
Na wszystko co jest udziałem naszym  
Błagamy wzgląd miej ironiczna Pani*

Rafał Wojaczek

Zaśpiewam wam pieśń...

choć pieśni o umieraniu słuchać nikt nie chce.

Umierałam wiele razy. Śmiercią tragiczną, beznadziejną, bezsensowną i rozpaczliwą. Oprócz śmierci fizycznej są też śmierć emocjonalna i śmierć cywilna. Tragiczne jest to, że po nich się jeszcze oddycha, choć czasem już wbrew woli.

# Śmierć pierwsza

Pierwszy raz umarłam na sali porodowej. Ustawiona pośladkami broniłam się przed życiem. Pewnie już wiedziałam, że będzie boleć. Szkoda, że człowiek przychodzi na świat bez pamięci.

## 5 maja 1968

Niespełna dwudziestoletnia Anna trafiła na porodówkę z zaawansowanymi skurczami. To jej pierwsze dziecko, nie umiała ocenić momentu, kiedy powinna jechać do szpitala. Badająca ją pielęgniarka włożyła rękę głęboko, aby „sprawdzić, czy wszystko w porządku”. Wody płodowe chlusnęły na podłogę, a Anna prawie straciła przytomność.

– Ooo! Dzieciak ustawił się tyłkiem. Pierwszy poród? – zapytała położna, nie wyjmując ręki z jej krocza. – Trochę poboli. Musi być dzielna!

Kobieta rodząca obok próbuje dodać jej otuchy. Z włosami przyklejonymi do ust wykonuje coś na kształt uśmiechu.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptwała potwornie zmęczona. – Tylko się nie denerwuj, bo zaszkodzisz sobie i dziecku.

Położna przyglądała się im przez chwilę, po czym westchnęła i wyszła z sali, machnąwszy ręką.

– Leżcie spokojnie, dziewczynki. Idę po lekarza – rzuciła na odchodne.

Lekarz, nieco zachmurzony, dotarł po 30 minutach. Niestety, przerwano mu urodziny pani ordynator. A tam tort i być może wiśnióweczka. Obejrzał rozhisteryzowaną już Annę zniesmaczony:

– Potrzebne mi tu dzisiaj komplikacje. Nie miała kiedy rodzić?

Ucisnął brzuch jedną ręką, drugą wsadził w krocze.

– Trochę to potrwa. Wołajcie mnie, jak już będzie konkretniej.

Wyszedł pospiesznie i pojawił się dopiero trzy godziny później. Sąsiadka obok zdążyła już urodzić, ale jej miejsce właściwie natychmiast zajęła następna kobieta.

– Co jest, młoda damo? Długo nas będziesz jeszcze męczyła? – próbował rozluźnić Annę kiepskim dowcipem. – Tyłkiem wychodzi na świat, znaczy od urodzenia ma wszystko w dupie.

Po kolejnych czterech godzinach dowcip mu nieco okrzepł. Anna co chwilę traciła przytomność.

– Dziecko zbyt długo znajduje się w kanale rodnym. Na pewno się już udusiło. Wyjmiemy fragmentami, to chociaż matkę uratujemy. Proszę o kleszcze – zwrócił się do położnej.

– Neeeeee! – krzyknęła słabo Anna. – Urodzę!

– To nie jest czas na dyskusje i głupie bohaterstwo. Po tylu godzinach dziecko nie ma prawa żyć. Nawet jeśli urodzisz, będzie martwe.

– To urodzę martwe – wycodziła przez zaciśnięte zęby. Do końca życia będę kojarzyć matkę z tym zaciskaniem zębów, gdy była wściekła. Nie dziwię się, że do lekarza ten obraz przemówił równie mocno, jak przemawiał do mnie przez te wszystkie lata. – Ale urodzę. Nie zgadzam się – zdążyła wyszeptać, zanim znowu na kilka sekund straciła przytomność.

Urodziła po trzynastu godzinach. Dostałam trzy punkty w skali Apgar. Walczyli o mnie przez kolejne miesiące w szpitalu. Wszystkiego pilnowała. Patrzyła lekarzom i pielęgniarkom na ręce. Zanosila koperty i prezenty. Udało jej się nawet zdobyć skądś pomarańcze. O te pomarańcze pytali ją na oddziale wszyscy.

Anna była piękna. Chodząca laleczka, jak mawiali przyjaciele ojca. Ale to siła była jej największym atutem. Mówi się, że mężczyźni wybierają słabe kobiety, aby się nimi opiekować. Nie mam pojęcia, czy to prawda. Do Anny lgnęli jak muchy do miodu. Może dlatego, że była mężatką, więc w grę teoretycznie wchodził jedynie bezpieczny flirt. Nie wiem. Dość, że lekarz na oddziale też miał do niej słabość, a ona umiała to wykorzystać. Była silna i zdeterminowana. Po trzech miesiącach zabrała mnie do domu i dalej sama walczyła z konsekwencjami porodu. A trzeba przyznać, że walczyła skutecznie. Z czasem dogoniłam rówieśników.

# Śmierć druga

**rok 1973**

**K**iedy wracaliśmy ze spaceru, zaczynało już zmierzchać. Gołębie wydziobywały resztki ziarna, które ojciec rzucił im, zanim wyszliśmy. Ich radosne gruchanie roznosiło się echem po obejściu w kształcie studni. Próbowałam wypatrzeć wśród nich Arnolda, pocztowca, którego ojciec wypuścił tydzień temu, gdy był u rodziny pod Kielcami. Zdaje się, że jeszcze nie wrócił. Ojciec nadał imię każdemu ptakowi. Nie mam pojęcia, jak je rozpoznawał. Twierdził, że gdy będę je uważnie obserwować, to z czasem też się tego nauczę. Za stodołą płonęło jeszcze przygasające słońce, rzucając na nią krwistopomarańczowe refleksy.

Zamknęłam delikatnie furtkę, aby nie wystraszyć gołębi, i usiadłam na ławeczce przed domem. Ojciec uwiązał psa i opadł zmęczony obok mnie. Przez chwilę obserwował Mariusza, który nie dawał Brutusowi spokoju. Chłopiec próbował karmić psa małymi kamyczkami umieszczonymi na wyciągniętej ręce. Brutus nie przejawiał zainteresowania, więc Mariusz co raz ponawiał próby z gałązkami, liśćmi, trawą. Wyglądał pokracznie na tych swoich krótkich nóżkach w bawełnianych spodenkach. Pies był od niego znacznie większy, ale przyjmował służalcze pozycje i łatwo można było dostrzec, że jest oddany swemu małemu panu. Zupełnie nie rozumiem, czemu wszyscy tak się zachowywali przy Mariuszu. W dodatku uważali, że jest „słodziutki”. Mały, rozwrzeszczany, wiecznie brudny od smarków, błota czy jedzenia. Właśnie znowu się rozryczał, bo pies nie zamierzał skosztować żadnej z podsuwanych mu wspaniałości.

– Przestań beczeć! – Wrzasnęłam na niego, ale na niewiele się to zdało.

Stał tam taki żaloszny ze spuszczonej rękami i podrygującymi od płaczu ramionami.

– Dlaczego wszyscy go tak kochają? – spytałam ojca, uśmiechającego się na widok jego zapłakanej twarzy. – Przecież on jest taki mały i głupi?

– Widzisz, skarbie – ojciec przyciągnął mnie do siebie i objął ramieniem – on jest jeszcze taki mały. Mężczyzna, choć bardzo niewielki. Tak dużo jeszcze potrzebuje opieki i uczucia. Spójrz na gołębie. Nawet one opiekują się z wyjątkową troską piskletami. Ty już jesteś duża, samodzielna, nie wymagasz tyle uwagi.

– Jestem już duża? – spytałam z nieśmiałą dumą.

– Tak, jesteś całkiem dorosłą panną. – Spojrzał na moją rozjaśnioną komplementem buzią. – Ale to nakłada na ciebie także pewne obowiązki. Musisz opiekować się bratem. Jesteś za niego odpowiedzialna.

– Ale ja nie chcę! – nadąsałam się.

– Jesteś mądrą dziewczynką i wiem, że to rozumiesz. No, ale chodźmy już do domu, bo mama czeka z kolacją. – Poderwał się z ławki i wziął mnie za rękę.

Mariusz wolno powlókł się za nami.

– Umyjcie natychmiast ręce i siadać do stołu – przywitała nas mama od progu. – Czy wy musicie się tyle czasu włączyć? Pomógłbyś coś w domu, a nie wiecznie cię ciągnie do lasu. Mówiłam, że stółek trzeba naprawić. Kiedy zamierzasz to zrobić? – pohukiwała, ani na chwilę nie przerywając przygotowań do kolacji.

– Nie złość się, Aniu – przymilał się ojciec. – Dzieci potrzebują powietrza, a i pies musi trochę pobiegać. Ale myśleliśmy o tobie i przynieśliśmy ci prezent.

Wyciągnął bukiet konwalii. Zupełnie nie wiem, gdzie je do tej pory trzymał. Próbował skraść mamie całusa, ale ta jedynie wzięła kwiaty i dalej udawała naburmuszoną.

– Już ty nie bierz mnie pod włos. Znam ja te twoje sztuczki. Do kolacji siadać, a potem masz mi taboret naprawić!

Nie umiała się na niego długo gniewać, więc już podczas kolacji uśmiechali się do siebie nad stołem, gdy Mariusz paplał z pełną buzią o spotkanej w lesie sarence, Brutusie, który prawie ją dopadł, chociaż chłopiec bardzo na niego krzyczał, żeby wrócił, i patyku, który wyglądał zupełnie jak miecz, a który przyciągnął za sobą na podwórko. Patrzyłam na nich i nieoczekiwana radość zalewała mi serce. Lubiłam swoją rodzinę. Uwielbiałam, gdy mama się uśmiechała. Tak rzadko to widziałam. Właściwie zdarzało się to tylko przy tacie. Do nas uśmiechała się rzadko. Nawet gdy przemawiała łagodnie lub czytała bajkę, to jakby nie miała czasu na ten uśmiech. Lubiłam, jak tata się z nami przekomarzał, rozbawiając wszystkich. Nawet Mariusza lubiłam, chociaż paplał zupełnie bez sensu. Wepchnęłam resztki kanapki do buzi i pobiegłam do pokoju po gitarę. Położyłam ją ojcu na kolanach, komenderując, co chcę usłyszeć. Zagrał *Stokrotkę* dla mnie, *Morskie opowieści* dla Mariusza i *Wszystko te czarne oczy* dla matki. Poszliśmy się myć, a on pogwizdując wcześniej grane melodie, zabrał się do podklejania stołka.

– Tato, dlaczego tak kochasz gołębie? – spytałam, gdy zajrzał do nas przed snem, aby poprawić nam kołdry.

– Zawsze były dla mnie uosobieniem piękna i wolności. Inteligencji i oddania. Gołębie mają jednego partnera do końca życia. Są monogamistami. Poza tym – uśmiechnął się do mnie szelmowsko i mrugnął okiem – nie są gadatliwe i nadpobudliwe. Nie wybuchają gniewem czy śmiechem bez żadnego powodu, czego nie można powiedzieć o kobietach. A cisza i spokój są tak potrzebne po stresującym



dniu w pracy.

– My się z Mariuszem kłócimy i krzyczymy na siebie. Ale nas też kochasz jak gołębice, prawda?

– Nie bądź niemądra. Śpij już. – Pocałował mnie w czoło i wyszedł z pokoju.

– Nie odpowiedziałeś... – Nie usłyszał, bo był już za drzwiami.

\*\*\*

Ten wieczór nie był inny. A nawet gdyby był, gdyby objawy, symptomy, nawet... Zbyt zajęta układaniem swojego dzieciństwa nie zauważyłabym. Do dziś zastanawiam się, dlaczego w tych najważniejszych momentach nie strzyżemy uszami? Dlaczego nie zatrzymujemy się zaniepokojeni nagłym brakiem poruszenia powietrza. Wibracjami zwiastującymi nadejście drapieżnika. Nieprzyjaciela czyhającego na moment nieuwagi. Dalej pijemy wodę ze strumienia, a on przyczajony za krzakiem spokojnie nas obserwuje, oblizując czujące już krew wąsy.

Ten wieczór nie był inny. Zmęczony po pracy ojciec zjadł z nami kolację, wysłuchując spokojnie wzajemnych bratersko-siostrzanych oskarżeń. Aby nas pogodzić, jak zawsze wziął z kąta gitarę i zagrał kilka piosenek – po równo dla mnie i Mariusza. Przygotował sobie kanapki na następny dzień do pracy. Przed snem przyszedł nas okryć puchową kołdrą. Ucałował w czoło.

– Pamiętaj, że masz się opiekować bratem – szepnął mi jeszcze do ucha.

– Babcia mówi, że dzieci nie są od tego, aby opiekować się innymi dziećmi. – Taka byłam elokwentna i dumna z dorosłej wypowiedzi.

– Twoja babcia jest mądrą kobietą, ale ty jesteś od niej mądrzejsza i dlatego będziesz miała na niego oko. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo i zamknął drzwi do pokoju.

„Krwi” – wysyczał drapieżca tak cicho, że nie udało mi się go usłyszeć.

\*\*\*

Gdy wróciliśmy z matką z przedszkola, ojca jeszcze nie było. Nie było go również, gdy zbliżała się pora kolacji.

– Nie czekamy na tatę. Coś musiało go zatrzymać. Siadajcie do stołu. – Matka zajęła się krojeniem chleba. Pokrojone kromki smarowała masłem. Z dna słoika wygrzebała resztki powideł. Wystarczyło tylko dla Mariusza. – Mirka, skocz szybko do piwnicy po słoiczek powideł, bo nie mam czym ci posmarować kanapki. Tylko tak na jednej nodze.

Wstałam od stołu i zbiegłam po schodach. Nie było jeszcze ciemno, więc szkoda czasu na zapalenie światła. Zaczęłam przeglądać zawartość regału. W pierwszym rzędzie stały kompoty, więc musiałam wspiąć się na palce, by zajrzeć głębiej. Kątem oka zauważyłam jakiś cień. Za półką ze słoikami, w rogu przy oknie stał ojciec. Nic nie mówił. Patrzył na podłogę szeroko otwartymi oczami. Głowa mu lekko zwisała na piersi. Panował półmrok, więc słabo go widziałam.

– Tato, co robisz? – zapytałam niepewnie.

Cisza. Nie odpowiedział. Był jakiś dziwny. Pamiętam, że poczułam lęk, bo takie zachowanie nie pasowało do niego.

– Tato?

Wyjrzałam zza półki i nieśmiało podeszłam do ojca. Dotknęłam jego klatki piersiowej. Poruszył się. Jakoś dziwnie, nienaturalnie. Jakby stopy nie trzymały się ziemi. Dotknęłam jeszcze raz. Odchylił się bardziej. Bałam się zapalić światło. Stałam i patrzyłam na niego. Popchnęłam go ręką i w milczeniu obserwowałam, jak się porusza. Rzeczywiście, nogi unosiły się lekko nad ziemią. Wyglądał, jakby stał. Przyjrzałam się jego twarzy. Była inna, zmieniona. Pokraczna. Im dłużej na niego patrzyłam, tym bardziej wydawała się deformować. Usta rozciągały się w upiornym uśmiechu. Teraz patrzył na mnie. Wydawało mi się, że widzę jego zęby spod tego upiornego uśmiechu. „Żebyś widział, jak głupio wyglądasz”, przemknęło mi przez myśl. Odepchnęłam go od siebie, ale natychmiast wrócił. Stałam tak i patrzyłam. Lęk prawie odszedł. W jego miejsce pojawiła się ciekawość. Dotknęłam jego palców i cofnęłam rękę zaskoczona lodowatością dłoni. Więc tak wygląda martwy człowiek? Ta twarz... Poczułam, że na nowo powraca strach i rozlewa się po całej mojej piersi. Przerazenie sparaliżowało moje ciało. Wypełniło mnie całą. Nie wiem, czy to ciekawość, czy coś, czego jeszcze wtedy nie umiałam nazwać, ale nie potrafiłam odwrócić się do ojca plecami i stamtąd wybiec. Stałam więc i patrzyłam.

– Czemu to tyle trwa? Ciebie po coś posłać... – zniecierpliwiona matka stanęła za moimi plecami.

Zapaliła światło i głos uwiązał jej w gardle. Wtedy dostrzegłam sznur obwiązany wokół szyi ojca i przytwierdzony do haka w suficie. Sufit w piwnicy był nisko. Haka nigdy wcześniej tu nie widziałam. „Przygotował się”, będę myśleć o tym później. Wiele później, gdy czucie wróci nie tylko do nóg, lecz także do odrętwiałego serca, które znów zapragnie wiosny.

– Na górę! – wycodziła matka przez zaciśnięte zęby.

Nie ruszyłam się. Dostrzegłam, że w tym świetle skóra ojca ma dziwny odcień. Szarawy, nieco siny. Wiedziałam, że to mój ojciec, ale tak trudno było go rozpoznać w tym wisielcu. Nie miał już tego błysku w oku, lekkiej zmarszczki, gdy podciągał kącik ust do góry w uśmiechu. Nie było w nim... czegoś. Nie wiem – duszy?

– Mirko, natychmiast na górę!

Matka szarpnęła mnie za rękę i zaczęła wlec po schodach. Dosłownie, bo nadal nie odzyskałam czucia w nogach.

Przekreśliła klucz w drzwiach do piwnicy i schowała go do kieszeni spódnicy.

– Zajmij się bratem! Niczego nie ruszajcie. Za chwilę wracam. – W pośpiechu zaczęła naciągać lewy but na prawą nogę. – Cholera! Mirko, spójrz na mnie! Nie ruszajcie się z miejsca, dobrze? I niczego nie dotykajcie. Ja naprawdę za chwilę będę.

Wybiegła, nawet się nie oglądając. Mariusz zaczął beczeć wniebogłosy, a łzy i smarki spływały mu na nadgryzioną kanapkę.

– Cicho bądź! – wrzasnęłam na niego, choć jego płacz potęgował mój lęk. – Cicho bądź, mówię!

Umilkł zaskoczony. Patrzył na mnie zaszklonymi oczami, a podbródek mu drżał. Głupek. Nic nie wie i nie rozumie. Spojrzałam na niego z politowaniem, bo czułam się, jakbym posiadała jakąś elitarną wiedzę. Coś, o czym on nigdy nie będzie miał pojęcia. Dotykałam trupa. Było w tym coś ekscytującego i przerażającego zarazem.

– Miła, boję się – wychlipał.

Ja też się bałam. Nie tylko tego, że zostaliśmy sami w domu. Do tej pory nigdy się to nie zdarzyło. Nie tylko ojca dyndającego pod podłogą. Bałam się nieznanego. Nasze życie się zmieni, czułam to intuicyjnie. Ale co będzie dalej, nie wiedziałam. Co się teraz stanie? Za chwilę, jutro, kiedyś. Moja wyobraźnia zawiodła. Nawet nie potrafiłam sobie tego chronologicznie poukładać.

– Nie rycz, proszę – mówiłam już przez łzy.

Wróciła chyba rzeczywiście szybko, ale dla nas czas dłużył się niemiłosiernie. Przyszedł z nią sąsiad strażak. Zastali nas wtulonych w siebie i zapłakanych.

Matka otworzyła drzwi do piwnicy, a sama podeszła do nas i wzięła w ramiona. Tuliła nas i kołysała w jakiś niewybrzmiany rytm. Mariusz powoli się uspokajał, a mną wstrząsał coraz większy szloch.

– Proszę... – powiedziała cicho, jakby już samo otworzenie ust było nadludzkim wysiłkiem.

Starałam się uspokoić. Dla niej. Do dziś nie umiem wytłumaczyć pewnych swoich zachowań. Niewiele rozumiałam. Intuicyjnie jednak czułam, że muszę jej pomóc. Że mój spokój pozwoli jej zachować równowagę. Wyciszyłam się zupełnie i mocniej w nią wtuliłam. Do dziś pamiętam zapach jej swetra w tym momencie. Duszną mieszankę perfum i potu.

Mariusz zasnął zmęczony i ukołyszany.

Chwilę później pojawili się dwaj milicjanci. Matka ruchem głowy wskazała im drzwi do piwnicy, nie przestając nas kołysać i obsypując nasze głowy pocałunkami. W końcu jej uścisk zelżał i podniosła się ostrożnie, by odłożyć mojego brata na łóżko. Posadziła mnie obok, a do ręki wcisnęła jego nadgryzioną kanapkę.

– Zjedz. Za chwilę wracam – rzuciła i zeszła do piwnicy.

Patrzyłam na tę obślinioną kanapkę i robiło mi się niedobrze. Naprawdę chciałam wymiotować. Odłożyłam chleb na stół i ostrożnie podeszłam do drzwi piwnicy. Co oni tam robią? Jeśli zejść po cichu, może uda mi się jeszcze raz zobaczyć trupa. Ciemne schody rosły przede mną, aż stały się niewiarygodnie długie i wysokie. Nabrałam przekonania, że nie uda mi się ich pokonać inaczej, niż zeskakując z jednego stopnia na drugi. A wtedy narobię hałasu i ci na dole się zorientują. Porzuciłam więc

wcześniejszy zamiar i bezmyślnie wróciłam na kanapę. Burczało mi w brzuchu. Zjadłam chleb z samym masłem, bo powidła przecież nadal stały w piwnicy.

Wynieśli ojca przez drzwi. Wtedy dopiero dotarło do mnie, że jeśli go zabiorą, to już nie wróci. Już go tu nie będzie. Z nami, przy kolacji. Nie chwyci stojącej w rogu gitary i nie zaśpiewa, przytupując lewą nogą. Nie weźmie mnie na kolana i nie zmierzwi mi włosów swoimi kościstymi palcami.

– Tatusiu! – krzyknęłam i rzuciłam się biegiem za nimi. Uczepiłam się kieszeni jego marynarki, próbując im go wyrwać. – Zostawcie go! To mój tata! Zostawcie go, słyszycie?

– Anno! – sąsiad zawołał mamę, jednocześnie próbując wyszarpnąć moją rękę z kieszeni ojca.

Odsunął mnie i próbował utrzymać z dala od ciała do czasu interwencji matki. Wierzgałam, rzucałam się, ale wszystkie wysiłki poszły na marne. Był znacznie silniejszy. Wtedy wpadł mi do głowy szatański pomysł. Ugryzłam go z całej siły. Zatopiłam zęby tak głęboko, że poczułam smak krwi. Wrzasnął i puścił mnie na chwilę. To wystarczyło. Znow byłam przy ojcu uczepiona jego ręki. Nikt mnie od niego nie oddzieli. Nie pozwolę.

Wtedy podeszła matka. Nawet ze mną nie walczyła. Powiedziała tylko: „Mira!” i wyciągnęła rękę w moją stronę. Jej dłoń była ciepła, ojca – lodowata. Puściłam go i poszłam za nią, przegrana.

\*\*\*

Na pogrzebie była piękna. Taka posągowo piękna. Kruczoczarne włosy ułożone w gładki kok, elegancki czarny dopasowany kostium, wysokie szpilki. Jej zmęczona, biała jak płótno twarz nosiła w sobie jakieś dostojeństwo. Nie płakała. Uśmiechała się lekko do osób składających nam kondolencje. Było ich wielu. Nie wiedziałam, że tata znał aż tylu ludzi. Ja w każdym razie większość widziałam po raz pierwszy w życiu. Zebrali się jak kruki na czarnym wygonie obserwujące siewcę rzucającego ziarno na zaoraną glebę. Czekali, aż odejdzie, by móc rzucić się w rozpuście na owoc jego ciężkiej pracy. Tak ich zapamiętałam. W końcu to było nie lada wydarzenie w mieście. Ksiądz odmówił pochówku samobójcy, więc sam pogrzeb okazał się sensacją. I jeszcze ta piękna i wyniosła kobieta w czerni, która amory tylu z tych chłopów miała do tej pory za nic. Dziś dostało się jej za okazaną pychę. Choć znow była wolna, dwoje bachorów nie przydawało jej atrakcyjności.

Myślę, że ona też to wszystko czuła. Dlatego trwała tam wyprostowana jak struna. Zadbaną i bez śladu emocji na twarzy. Staliśmy po jej obu stronach. Mariusz grzebał brudnym palcem w nosie, zupełnie nie rozumiejąc całego tego cyrku, który się wokół niego rozgrywał. Ja patrzyłam na matkę jak na jakiś niezrozumiały obrazek. Niebywale piękny, ale trudny do odczytania. Próbowałam ją rozgryźć. Chciałam wiedzieć, co czuje. Co właściwie ja powinnam czuć w tej chwili. Czekałam na jakiś znak, choćby

drobną podpowiedź. Dlaczego ona nie płacze? Czyżby nie tęskniła za ojcem? Czy powinna szlochać, lamentować, aby ludzie wiedzieli, że bolejemy nad stratą? Że kochaliśmy tego człowieka.

Jak mały w klatce.

Zachwiała się tylko raz, gdy opuszczano trumnę do ziemi. Oparła się mocniej dłonią o moje ramię, dlatego to zauważyłam. I usłyszałam jedno, jedyne słowo, cichutkie jak szelest wiatru: „Wojtusi”...

Potem na powrót była jak drewniana. Mechaniczne ruchy, półsłowa, ledwo zarysowane gesty. Słońce prześwietlało jej kosmyki włosów i cerę jakby przezroczystą.

Nic nie zapowiadało tego słońca. Pojawiło się niespodziewanie, jakby chciało dodać nam sił. Tego dnia rano było pochmurno i deszczowo. Pomyślałam wtedy przez chwilę, że nawet niebo płacze za tatą. Na pewno płakały gołębie. Od bladego świtu słyhać było ich nadzwyczajne poruszenie. Nikt nie przyniósł im jedzenia. Siedziałam na skraju łóżka ubrana w czarną sukienkę z krepiny i słuchałam tego głośnego gruchania. Nie płakałam. Rozmyślałam. Ostatnio zrobiłam się twardsza. Nie ryczałam z byle powodu. Mój tata umarł. Stało się. Po prostu. Nie rozumiałam tylko dlaczego. Dlaczego on, a nie na przykład pan Nowak? Nie żebym go nie lubiła, przyszedł mi po prostu pierwszy na myśl. Najbardziej jednak przewiercało mnie pytanie, dlaczego on to zrobił? Dlaczego się zabił? Dlaczego już nie chciał być ze mną i Mariuszem? Dlaczego nie chciał być z mamą? Przecież zawsze doprowadzał ją do śmiechu.

Nie chciałam iść na pogrzeb. Wydawało mi się przesadą robienie imprezy dla kogoś, kto nas zostawił. Nie zapytał o zdanie. Nie martwił się, czy sobie bez niego poradzimy. Niech teraz będzie bez nas. Niech zostanie zasypany tą brudną ziemią i leży w tym zimnym grobie zupełnie sam. Przecież tak chciał.

Nie chciałam iść na pogrzeb, ale dla matki nie miało to znaczenia. W tamtych czasach nikt nie pytał dzieci o zdanie. Zresztą w tych dniach nikt z nami nie rozmawiał. Nikt nie czuł się w obowiązku – ani wtedy, ani nigdy potem – czegokolwiek nam wyjaśniać. Przez lata „o tym” się po prostu nie mówiło. Stało się i już. Z moich ust też nigdy nie padło pytanie „dlaczego”. Dziś wiem, że nie ma nikogo bardziej samotnego niż dziecko w świecie dorosłych.

Uroczystość była krótka i skromna. Bez mszy, księdza, przemówień. Kondukt żałobny doszedł do wykopanego dołu, złożono w nim trumnę i ją zasypano. Czekaliśmy do końca. Prawie wszyscy już odeszli. Zostaliśmy my i dziadkowie, rodzice taty. Teraz mogłam ich zobaczyć, bo wcześniej stali gdzieś z tyłu za całym tym tłumem. Chciałam do nich podbiec, ale matka przytrzymała mnie silnie za rękę. Stali tam tacy przygarbieni. Babcia z różańcem w ręku modliła się, bezgłośnie poruszając wargami. Dziadek trzymał ją pod ramię i patrzył na nas załzawionymi oczami. Uśmiechnęłam się do niego, chcąc dodać mu otuchy, ale nie odwzajemnił gestu. Nie podeszli do nas

nawet wtedy, gdy zauważył ich Mariusz i zaczął krzyczeć „babcia”, machając do niej brudną rączką na przywitanie. Skończyli się modlić, odwrócili się i odeszli. Zostaliśmy sami. Mariusz chciał już iść do domu i strasznie marudził. Matka jednak nie zwracała na niego uwagi. Stała jak wykuta z marmuru. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie. Nie wiem, jak długo byśmy tam tkwili, gdyby nie jej ojciec. Przyszedł po nas i wziął ją pod rękę. Wyszarpnęła się brutalnie. Dziadek próbował ją jeszcze przez chwilę przekonywać, aby wróciła z nim do domu, ale w końcu odpuścił i zabrał tylko nas. Nie chciałam jej zostawiać, ale nudziło mnie już to stanie i nicnierobienie, więc potulnie poszłam za dziadkiem.

\*\*\*

Przez kolejne dni prawie się nie odzywała. Gdy musiała się po coś do nas zwrócić, brzmiało to, jakby wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało ją naprawdę wiele. Mariusz za to paplał jak nakręcony. Nie wiem, co on z tego wszystkiego rozumiał, nie wiem, co czuł, ale najwyraźniej denerwowała go ta wszechobecna cisza. Ze wszystkich sił starał się ją wypełnić słowami. W końcu mocno zniecierpliwiony wyparował:

– Gdzie tata?

Matka udała, że nie słyszy, a może rzeczywiście nie słyszała.

– Gdzie tata? – powtórzył.

– Nie wiem, synku. Nie wiem...

– Gdzie tata? – nie ustępował, szczypiąc ją w rękę swoimi pulchnymi paluszkami.

W końcu na niego spojrzała, kucnęła przed nim, aby mieć twarz na jego wysokości, wzięła jego małe dłonie w swoje wychudzone ostatnio ręce i spojrzała mu w oczy.

– W niebie. Tata jest w niebie, kochanie.

– A czy on nie może z tego nieba przyjść na chwilę, żeby się ze mną pobawić?

– Nie, synku. Nie. – Przyciągnęła go mocno do siebie, wtulając go w swoje ramiona, aby nie widział ciężkich łez spływających jej po policzku. – Może kiedyś...

# Śmierć trzecia

**rok 1980**

**D**roga tonęła w słońcu. Przydrożne kasztany wyciągały gałęzie z przekwitającymi już kwiatami, czerpiąc z tej życiodajnej energii. Przy każdym kroku podrzucałam nogą swój worek z kapciami. Może pójść koło rzeki? Zyskałabym dodatkowe minuty, a na bulwarze musi być teraz pięknie. Może będą kaczkę przy moście, rzuciłabym im resztki kanapki, której nie zjadłam w szkole. Wszystko, by odwlec chwilę powrotu do domu. Dziś nie miał dyżuru, więc pewnie siedział nachlany w domu.

– Karola, może pójdziemy przy rzece? Mogłybyśmy nakarmić kaczkę – zapytałam niby od niechcienia.

– Nie dziś. Matka kazała mi szybko wracać, bo jedziemy do jakiejś ciotki czy coś. Czeka na mnie, więc jak się spóźnię, będzie awantura.

– Szkoda. Samej nie będzie tak fajnie. Ale i tak pójde, bo jak przywlekę tę kanapkę do domu, dostanę w skórę za marnowanie jedzenia.

– Aha. To cześć! – Karolina skrzyknęła w uliczkę prowadzącą do jej domu.

– Cześć! – Odkrzyknęłam, ale nie wiem, czy jeszcze mnie słyszała.

Wał przy rzece był pełen par. Tych spacerujących i tych okupujących ławki. Zapatrzonych w siebie, nieobecnych, czasem obrzydliwych. Trwały matury, więc dużo klas z pobliskiego liceum miało krótsze lekcje. Cała ta gawiedź wyległa dziś nad rzekę. Stałam na mostku przy młynie i rozwinęłam kanapkę z papieru. Urwałam kawałek i rzuciłam do wody.

– Po co marnujesz kanapkę? – Wypłowiła blond czupryna wyrosła jak spod ziemi. Zaraz za nią pojawił się Adam, chłopak ze starszej klasy, którego bało się chyba z pół szkoły. – Nie powinnaś wyrzucać jedzenia. Jeśli go nie chcesz, daj mnie.

Wyciągnął rękę, a ja posłusznie oddałam mu resztki kanapki. Patrzyłam, jak szybko ją pochłania. Musiał być głodny.

– Co się tak gapisz? Przecież już jej nie chciałaś. – Rzucił zaczepnie. – No już, zrywaj stąd.

– Ja tu byłam pierwsza. Ty spadaj – odrzuciłam, bo nie podobał mi się jego ton.

– Lepiej ze mną nie zaczynaj – warknął.

Ściągnął brwi. Zapewne chciał wyglądać groźnie, ale wyszedł z tego tylko dziwny grymas. Rozbawiło mnie to, więc zaczęłam się śmiać.

– Nie boisz się mnie? – W tym pytaniu było więcej zdziwienia niż groźby.  
– A dlaczego mam się bać?  
– Nie słyszałaś, co o mnie mówią? – spytał jeszcze bardziej zaskoczony.  
– Nie słucham, co ludzie gadają. – Wzruszyłam ramionami. – Kto ostatni na końcu mostu, ten frajer!

Rzuciłam się pędem przed siebie. Zdumienie odebrało mu refleks. Ruszył dobre trzy sekundy za mną. Był wyższy i starszy. Do tego dużo szybszy. Pewnie by wygrał, ale most był krótki i moja kilkusekundowa przewaga okazała się wystarczająca.

– Pierwsza – wrzeszczałam wniebogłosy z rękami podniesionymi w geście zwycięstwa.

– Nie ma tu szarfy, więc nie musisz podnosić tych rąk – burknął. – Poza tym oszukiwałaś.

– Wcale nie oszukiwałam! Odwołaj to! – krzyknęłam gniewnie.

– Oszukiwałaś, bo ja nie wiedziałem, że będziemy się ścigać. Ruszyłaś pierwsza! – prychnął, jednak moje zaciśnięte pięści sprawiły, że zmienił ton. – Coś się tak zjeżyła? Przecież nie będę się z tobą bił, zgłupiałaś? Nie biję dziewczyn.

– A kto powiedział, że ty byś mnie pobił? Umiem się bić! Sam byś dostał porządne lanie.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, ale odpowiedział łagodniej:

– Dobra, już dobra. Wierzę ci. Opuść te pięści.

Usiadł na wale przy rzece.

– Odwołaj to! – nie dawałam za wygraną.

Stałam ciągle przed nim z podniesionymi pięściami.

– Dobra, odwołuję. Niech ci będzie.

Nie byłam pewna, czy to „niech ci będzie” powinno mnie usatysfakcjonować, ale po krótkim namyśle uznałam, że tak. Usiadłam obok niego. Urwałam kawałek trawy i wsadziłam sobie do ust. Czemu oni się go boją? Nigdy tego nie rozumiałam. Wcale nie jest taki straszny. Ale w przekazywanych z ust do ust opowieściach jawił się jako prawdziwy potwór. Podobno kiedyś uderzył własnego ojca. To akurat nie było dla mnie wcale takie złe. Sama chętnie bym przylała swojemu ojczymowi. Po tylu ciosach odebranych od niego co mógł mi zrobić ten podrostek? Zebrałam leżące obok kamyki i wrzucałam kolejno do wody. Przez chwilę beznamietnie obserwował, co robię, potem zaczął mi się uważnie przyglądać.

– Dziwna jakaś jesteś, wiesz? – rzucił w końcu.

– Wiem. I co z tego? – Nie przerywałam wrzucania kamyków.

– Nic. Właściwie, to nic...

– Ty też jesteś dziwny. Wcale nie taki straszny, jak mówią.

– Już niech lepiej oni tak myślą.

– A bo co? Lubisz być strrrraszny? – Podniosłam ręce, udając ducha.



- Lubię, jak się mnie boją. Wtedy nie próbują się zbliżyć.
- A co ci ludzie przeszkadzają?
- A co ci ludzie przeszkadzają? A co ci ludzie przeszkadzają? – Zaczął mnie przedrzeźniać, sepleniąc. – A co ci do tego? Za dużo miałisz ozorem.
- Nie lubisz ludzi? – drążyłam.
- A za co ich lubić? – odpowiedział pytaniem.
- Za to, że ci dają kanapkę, na przykład.
- I tak jej nie chciałaś. Też mi przysługa. Oddałaś coś, co i tak zamierzałaś wyrzucić.
- Ale nie wyrzuciłam, tylko ci dałam – odparłam urażona.
- No dobra, ciebie mógłbym spróbować polubić. Sztama? – Wyciągnął do mnie prawą dłoń.
- Sztama – odparłam i przybiłam rękę na potwierdzenie.

\*\*\*

Następnego dnia wzięłam ze sobą dwie kanapki. Matka się trochę zdziwiła, bo zazwyczaj nie kończyłam nawet jednej, ale o nic nie pytała. Czekałam pod jego klasą na długiej przerwie, aby mu ją dać, ale przeszedł koło mnie niewzruszony. Udawał, że mnie nie zna. „Poczekaj – pomyślałam sobie. – Przyjdzie koza do woza”. Obrażona wróciłam do klasy. Ze złości chciałam wyrzucić kanapki do kosza, ale się zatrzymałam. Upiorny głos mamy świdrował mi w głowie: „Nie wolno wyrzucać jedzenia! Jest tyle głodnych dzieci na świecie!”. I co z tego? – myślałam zawsze. Czy moje jedzenie przeleci w jakiś cudowny sposób do Afryki? Nakarmi te dzieci z opuchniętymi od głodu brzuskami, które zawsze pokazywała nam na jakiś obrazkach?

Mimo wszystko słowa matki zapadły mi w pamięć. Zawsze wolałam rzucić jedzenie jakiemuś zwierzęciu, niż wyrzucić do kosza. Oczywiście najprościej byłoby przynieść z powrotem do domu, aby zjedli je Mariusz czy mama. Jednak wizja kolejnej awantury z powodu głupiej kanapki sprawiała, że wolałam nakarmić kaczki.

Zagroził mi drogę jeszcze przed mostem. Wyciągnął rękę przed siebie, więc sięgnęłam do tornistra po kanapki. Nie zdążyłam jeszcze ich wyjąć, gdy na mnie naskoczył:

– Czyś ty zgłupiała? Po co stałaś pod moją klasą? Chcesz mi zepsuć reputację? Ładnie byś mnie urządziła, gdyby zobaczyli mnie z dziewczyną.

Automatycznie cofnęłam rękę, włożyłam kanapkę z powrotem do torby i odwróciłam się na pięcie. Złapał mnie za ramię.

– Ej, co ty robisz? Miałaś mi dać kanapkę.

– Ale najwyraźniej jej nie chcesz – odrzekłam niespeszona tym nagłym atakiem złości.

– No nie wygłupiaj się! Pewnie, że chcę! Głodny jestem, jak nie wiem co. Tylko mnie zdenerwowałaś tym w szkole – plątał się. W końcu wypalił gniewnie: – To

dajesz ją czy nie? Łaski nie musisz mi robić!

Było w tym tyle dumy, tyle nieukrywanej zaciętości, że bez słowa wyciągnęłam obie kanapki i mu podałam. Usiedliśmy na wale. Ja wrzucałam kamyki do wody, on jadł w pośpiechu. Wyglądało to tak komicznie. Jakby się bał, że ktoś mu to odbierze. Już miałam rzucić jakąś zgryźliwą uwagę na ten temat, ale się powstrzymałam.

– Czemu ty właściwie ciągle jesteś głodny? Nie dostajesz kanapek do szkoły? – zapytałam ostrożnie.

– A co ty taka ciekawa? Nie twoja sprawa!

– No niby nie, ale właśnie zjadasz po raz kolejny moje drugie śniadanie, więc myślałam, że mógłbyś mi jednak powiedzieć...

– Nic ci do tego. Pilnuj swoich spraw – burknął z pełną buzią.

– Dobra – nie naciskałam. Wiem, że czasem nie należy dociekać. Sama bym nie chciała, żeby ktoś wiedział, co dzieje się u mnie w domu. – To do jutra, tak?

Poderwałam się do góry.

– Do jutra – odpowiedział, plując kawałkami chleba. – Tylko nie podchodź do mnie w szkole! Pamiętaj, że nie będę cię znać!

\*\*\*

Było jutro, było pojutrze. Adam stał się elementem pejzażu. Był ciągle. Był w tym samym miejscu. Był.

I wciąż zżerał moje kanapki.

Z czasem przynosiłam mu też inne smakołyki z domu: racuchy usmażone przez matkę, kawałek ciasta, jabłko. Pochłaniał to wszystko w błyskawicznym tempie. Nigdy nie podziękował. Po prostu wyciągał rękę, gdy tylko do mnie podchodził, a gdy dostał, co chciał, natychmiast to pożerał.

Siedzieliśmy nad rzeką, rzucaliśmy kamienie, zbieraliśmy gałęzie, robiliśmy szałas. Bawiliśmy się w Indian i kowbojów. Co prawda, zawsze ja byłam Indianinem, a on kowbojem, ale teoretycznie mogłam zaprotestować.

Tego dnia też spędzaliśmy czas nad rzeką. Właśnie stałam przywiązana do drzewa, a on miał pode mną rozpalić ognisko, aby zmusić mnie do wyjawienia, gdzie ukryliśmy skarb, gdy przypomniało mi się, że matka wczoraj upiekła pączki. Nie było nikogo w domu, więc wpadłam na pewien pomysł.

– Dobra, poddaję się! Rozwiąż mnie, to pokażę ci, gdzie ukryliśmy skarb – zaczęłam przymilnie.

– Rozwiążę cię, ale pamiętaj, że jak będziesz próbować sztuczek, zdejmę ci skalp! – odpowiedział i wymierzył we mnie koniec patyka.

Rozwiązał sznurek, a ja ruszyłam w drogę do domu, taktycznie schylając się pod każdym ogrodzeniem.

– Musimy być ostrożni, bo jeśli moi bracia dowiedzą się, że zdradziłam, postawią mnie przed sądem plemiennym i sami mnie oskalpują – powiedziałam, uważnie

wychylając się zza drzewa.

Ostatnie metry do domu pokonaliśmy biegiem.

Mariusz bawił się na podwórku starym wózkiem dziecięcym. Udawał, że to jego samochód wyścigowy, i właśnie poprawiał mu zawieszenie. Zauważył gościa, ale nie przerywał swojej zabawy. Janek był jeszcze w przedszkolu. Weszliśmy do domu. Zajrzałam pod pokrywkę garnka na kuchence i nałożyłam na talerz trochę ziemniaków.

– Nie wolno nam samym odgrzewać, ale jak chcesz, to możesz zjeść zimne – rzuciłam, kładąc talerz na kuchennym stole.

Usiadł ochoczo i zjadł do ostatniego kęsa.

– Co tam jeszcze masz? – zaczął węszyć po garach.

– Skarb! Mówiłam, że cię zaprowadzę – wyciągnęłam z piekarnika tacę z pączkami przykrytą lnianą ściereczką.

– Jacie! – nie potrafił opanować emocji.

Wzięliśmy po jednym i pałaszowaliśmy z uśmiechami na ustach, kiedy z pokoju wytoczył się ON. Kompletnie pijany. W samym podkoszulku. Myślałam, że jest na dyżurze. Przerazona zamarłam z pączkiem w ustach.

– Co ty za ścierwo sprowadzasz do domu? – wybełkotał, podchodząc do nas.

– Dzień dobry, psze pana. Jestem kolegą Miry. Adam. – Wyciągnął do niego rękę.

Złapał za nią i pociągnął Adama do sieni.

– Wynocha stąd! To nie stołówka – wrzasnął.

Poderwałam się z krzesła i też chciałam wybiec, ale zagroził mi drogę.

– Nie dość, że muszę utrzymywać dwoje darmozjadów, to jeszcze mi innych przyprowadzasz?

– Ja tylko pączka... Chciałam poczęstować... – próbowałam sklecić na szybko logicznie brzmiące zdanie, choć walka była z góry przegrana.

Już dawno nauczyłam się, że jak jest pijany, to się z nim nie dyskutuje.

– Tylko pączka, tylko pączka – przedrzeźniał mnie. – A tobie kto pozwolił wziąć pączka? Zapracowałam na niego? Nie! Ja na was haruję, bękarty jedne – nakręcał się.

– Przepraszam – wybąkałam.

Może pokora okaże się wybawieniem.

– Co mi po twoich przeprosinach? Zwrócisz mi kasę za żarcie dla was tymi swoimi przeprosinami? – siedł w moją stronę, a ja usiłowałam schować się za stołem.

Wyczekałam dobry moment i rzuciłam się w stronę drzwi. Gdy jednak próbowałam go wyminąć, ściągnęłam ze stołu obrus i talerz z niedojedzonym pączkiem upadł na podłogę rozbijając się z trzaskiem. Zawahałam się chwilę, ale to wystarczyło. Złapał mnie za kark i przytrzymał. Prawą rękę zagiął mi na plecach i zmusił do ukłęknięcia.

– Posprzątasz to – wydyszał, przygniatając mnie do podłogi. – Złiziesz cały ten bałagan, który zrobiłaś!

– Proszę pana, niech pan ją puści. – Adam stanął w drzwiach. – Ja to wszystko

posprzątam! To moja wina! – mówił szybko, widać było, że jest przerażony.

– Wynoś się stąd, gówniarzu! – Wysyczał w jego stronę. – Wynoś się natychmiast!

– Niech pan ją puści! – krzyknął Adam, czym zupełnie go zaskoczył.

Wykorzystałam moment i umknęłam z domu. Adam ruszył za mną.

Na podwórku kątem oka zobaczyłam Mariusza skulonego za budą dla psa. Nie ma szans, żeby go nie zauważył, gdy wybiegnie za mną. Wywlekłam brata stamtąd niemal siłą i wypadliśmy na ulicę. Biegliśmy przez cały czas, dopóki nie dotarliśmy do rzeki. Opadliśmy zdyszani na ziemię na wale. Ale nawet gdy nasze oddechy już się ustabilizowały, długo nikt nie miał odwagi zacząć tej rozmowy. Wiedzieliśmy, że ona musi się odbyć, ale w tej chwili żadne z nas nie miało nic do powiedzenia. Bo co można było powiedzieć? Mariusz siedział odwrócony do nas plecami. Pewnie wstydził się, że inny chłopak mógłby zobaczyć jego łzy.

– Twój ojciec często pije? – Padło dopiero następnego dnia.

Spacerowaliśmy wzdłuż brzegu, już poza granicami miasta. Nie chciałam go dzisiaj widzieć, więc planowałam nie iść nad rzekę, ale tym razem on czekał na mnie pod szkołą. Wziął mój plecak i ruszyliśmy przed siebie.

– To nie jest mój ojciec! – Niemal wrzasnęłam. – Mój ojciec nigdy nie podniósłby na mnie ręki!

– To kim był ten facet?

– To mój ojczym.

– To gdzie jest twój ojciec?

– Nie żyje...

– Słabo – skwitował niezmiuszony. – Miał wypadek?

– Nie żyje, i już!

– Dobra, już dobra – burknął urażony. – Dawno umarł?

– Siedem lat temu. Dwa lata później matka ponownie wyszła za mąż. Poznała GO w pracy.

– Twojego brata też tłucze?

– Tak... Jego nawet częściej, choć on jest znacznie grzeczniejszy niż ja. Zawsze MU schodzi z drogi. Wszyscy o nim mówią, że jest słodziutki. Ale bardzo przypomina ojca. Wiesz, z twarzy. ON jest drażliwy na tym punkcie. Nie wiem czemu, przecież nawet go nie znał. Kiedyś w szale podarł wszystkie moje zdjęcia ojca. A było tam takie, na którym siedzę u taty na kolanach. Wśród jego gołębi. Lubiłam je. Czasem z nim spałam. I chyba właśnie to tak go zdenerwowało... Nie zostawił mi nawet jednego... – opowiadałam z bólem.

Naprawdę tego nie rozumiałam. Wydawało mi się to jawną niesprawiedliwością. Dopiero wiele lat później miałam się dowiedzieć, czym właściwie jest zespół Otella.

Szliśmy chwilę w ciszy. Kopnęłam kamień leżący na drodze. Wpadł z pluskiem do rzeki.

– Mam jeszcze jednego brata, ale on jest bezpieczny.

– Jest jego?

– Tak. Jest jeszcze taki mały. Naprawdę słodki aniołek. Ale boi się, gdy ON krzyczy, i wtedy płacze. Czasem GO to przywołuje do porządku, a czasem rozsierdza jeszcze bardziej. Krzyczy, że to przez nas dziecko płacze.

– A co na to twoja matka?

– Zazwyczaj jej nie ma. Ciągłe bierze dodatkowe zmiany. Przy niej rzadko się to zdarza.

– A gdy jest?

– A gdy jest, to się z nim szarpie. Krzyczy, że zabierze dzieci, spakuje się i wyprowadzi.

– To czemu tego nie robi?

– A bo ja wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Wiele razy, leżąc w łóżku, układałam sobie w głowie plan, jak to będzie, gdy się wyprowadzimy. Będę jej pomagać i zajmować się małym. Nie mogłam zasnąć z podniecenia. Ale przychodził ranek i przy śniadaniu wszystko było OK. Nalewała mu herbaty, nam robiła kanapki. Nikt z nami o niczym nie rozmawiał. Za nic nie przeproszał. Jakby nic się nie wydarzyło... Czułam się wtedy taka oszukana.

Usiadłam na trawie po turecku i zatopiłam się w myślach. Adam się nie odzywał. Widać, że rozważał to, co mu powiedziałam.

– Mówiąc ogólnie, chodzi o to, żeby go jak najszybciej położyć spać, bo wtedy jest względny spokój. A jak wytrzeźwieje, to nawet stara się być miły. – Wypłułam kawałek odgryzionej trawy.

– Będę cię odprowadzał do domu! – zdecydował.

– Eeee. Lepiej nie. Po co go niepotrzebnie drażnić.

– Następnym razem, jak się na ciebie rzuci, powiesz mi, a ja mu przyłożę!

– Oszalałeś? On jest od ciebie dużo silniejszy. To byśmy dopiero mieli kłopoty. – Pokiwałam głową nad jego głupotą. – Poza tym poszedłby do twojego ojca i zrobiłaby się z tego afera.

Ten argument chyba go przekonał, bo zamilkł.

– Jak będę starszy, to cię stamtąd zabiorę – powiedział tak cicho, że prawie nie usłyszałam.

– Obiecujesz? – naprawdę chciałam mu wierzyć.

Będziemy musieli wziąć jeszcze Mariusza, ale o tym powiem mu później.

– Obiecuję – potwierdził, krzyżując palce na piersi.

\*\*\*

Patrzyłam na matkę, która zbierała talerze po kolacji. Powinnam jej pomóc, jak co wieczór, ale tym razem ani drgnęłam. Nawet nie zwróciła na to uwagi. Zatopiona w myślach automatycznie powtarzała codzienny rytuał. JEGO na szczęście nie było.

– Odejdę od ciebie, wiesz? – powiedziałam cicho. Nieco za cicho, bo nie usłyszała. – Odejdę od ciebie – powtórzyłam głośniej. – I zabiorę ze sobą Mariusza!

Brat zeszywniał za stołem. Mały Janek przyglądał mi się ze zdziwieniem. Wykrzywił buzię w podkówkę.

– Nie ić! – powiedział z drżącą bródką.

– Coś ty powiedziała? – matka nie dowierzała temu, co usłyszała.

– Mówię, że od ciebie odejdę! – powtórzyłam z mocą.

Patrzyłam na nią wyzywająco.

– Jak ty się do mnie odzywasz? – nie kryła zdumienia. Jednocześnie próbowała przytulić wyjącego Janka. – Klęknij natychmiast w rogu z rękami podniesionymi do góry.

– Mogę klęknąć, ale i tak od ciebie odejdę! – powiedziałam, wykonując polecenie.

– Będiesz tak klęczała, dopóki nie nauczysz się szacunku do rodziców – wycedziła przez zęby.

– Na szacunek trzeba sobie zasłużyć – odrzuciłam wściekła.

Podeszła i uderzyła mnie w twarz. Zdenerwowana zgarnęła Janka do kąpieli i zniknęła na dłuższą chwilę w łazience. Gdy wróciła, klęczałam wyprostowana, choć ręce mi omdlewały. Bolały mnie kolana i kręgosłup. Zaprowadziła małego do łóżka. Słyszałam, jak całuje go w czoło i mówi „dobranoc”. Nas nie całowała już od dawna. Gdy pokazała się w drzwiach, wyciągnęłam się jak struna. Czułam, że za chwilę zemdleję. Podeszła do mnie, wzięła mnie za ręce i klęknęła naprzeciwko. Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę. Świdrowała wzrokiem, ale wciąż patrzyłam na nią wyzywająco.

– Poświęcam się dla was – powiedziała wolno. – Haruję jak wół. Biorę dodatkowe dyżury. W domu nie nadążam z robotą. Nie pomagasz mi! – Nie wiem, czy to był wyrzut, czy raczej usprawiedliwienie się.

– Pomogłabym ci! Pomagałabym ci codziennie, ile tchu – rzuciłam szybko z nagłą nadzieją – ale odejdz od niego!

Patrzyła na mnie zdumiona, jakbym mówiła obcym językiem.

– Proszę... – dodałam cicho.

– Przecież Janek jest jeszcze maleńki – zaczęła niepewnie.

– Przecież jesteśmy jeszcze my! – prawie wrzasnęłam.

– A ty myślisz, że co? Że dam sobie radę sama? Z trójką dzieci? – zrównała ton głosu z moim. – Ty się zajmiesz Jankiem? Ty zarobisz?

– Ja się zajmę! Mogę nie chodzić do szkoły! Mogę jeść tylko chleb! Wszystko jest lepsze niż mieszkanie z nim! On podarł zdjęcia taty, wiesz o tym?

Patrzyła nieprzytomnym wzrokiem, oddalona ode mnie o tysiące mil świetlnych. W końcu otrząsnęła się z jakiś niewypowiedzianych myśli i zaczęła mówić bardzo wolno i bardzo wyraźnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Wasz ojczym jest dobrym człowiekiem! Zrozumiałaś? Przygarnął was jak swoje dzieci i się wami zaopiekował! Zaopiekował się mną. Czasem ma chwilę słabości i się napije. Ale kocha swojego syna. Nie rozbiję rodziny tylko dlatego, że wy nie umiecie go zaakceptować. Straciłam już jednego męża i wiem, co to znaczy być sama z dziećmi.

– Ale mammo... – próbowałam coś jeszcze powiedzieć.

– Dość! Powiedziałam! Macie nauczyć się go szanować, a wtedy będzie mniej kłótni i wszyscy będziemy szczęśliwsi. Z czasem wszystko się ułoży. Nie chcę nigdy więcej wracać do tego tematu. Zrozumiano?

Nie mogłam na nią patrzeć. Chciałam zerwać się i wybiec, ale ciągle trzymała mnie za rękę. Bałam się jej. Jej tonu. Zdecydowania. I tych zaciśniętych zębów.

– Pytam, czy rozumiano?

– Tak – odpowiedziałam cicho.

– To marsz do łóżka. Za karę nie będziesz wychodziła przez trzy dni z domu. A jeśli jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, spiorę cię na kwaśne jabłko.

Ze spuszczone ramionami powlokłam się do sypialni przegrana. Drastycznie, jednym cięciem pozbawiona wszelkiej nadziei.

\*\*\*

Te trzy dni były prawdziwą udręką. Wolałabym dostać lanie niż taką karę. Ale potem moje życie znowu nabrało barw. Wakacje minęły jak sen.

To, co działo się w domu, właściwie przestało się liczyć. Zresztą bywałam tam rzadko, więc też nie miałam zbyt wielu okazji napatoczyć MU się pod rękę. Zdobywaliśmy świat. Chodziliśmy na wyprawy. Czasem zabieraliśmy ze sobą Mariusza. Jemu imponowało towarzystwo starszego kolegi, w dodatku z taką szemraną reputacją. Przez to i ja zyskałam w jego oczach.

Bawiliśmy się w powstańców. Ja byłam zazwyczaj łączniczką i przenosiłam ważne depeche. Oni ukrywali się w bunkrach. I wychodzili na niebezpieczne misje. Moim zadaniem było organizowanie im posiłków. Odkryliśmy fajne gospodarstwo za miastem. Skoszone siano ustawione w stogi służyło nam za tajne bazy. Organizowaliśmy akcje przedzierania się na stanowiska wroga. Bawiliśmy się świetnie, dopóki nie nakrył nas właściciel. Nie był zadowolony z rozwalonych stogów.

Oj, ciężką miał rękę gospodarz! A i poskarżyć się nie było komu.

Matka była zadowolona, że kłótnie przycichły. Że nie wchodzimy MU w drogę. A dla mnie ten świat przestawał istnieć. Raz czy dwa razy dostałam lanie, gdy coś w moim zachowaniu MU się nie spodobało, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Nawet opuchnięta ręka, która po dwóch dniach okazała się złamana. Przeszkadzała mi tylko w niebezpiecznych misjach, gdyż obniżała moją sprawność. A ta była ważna. W oczach chłopaków mogłam zyskać, tylko jeśli bezbłędnie się przyczajałam i skutecznie zdobywałam żywność w postaci jabłka ukradzionego ze straganu na rynku czy mleka wystawionego przez gospodynię za okno, aby się zsiadło.

Mój świat zaczynał się i kończył na Adamie. Gdy wróciliśmy we wrześniu do szkoły, ze zniecierpliwieniem czekałam na koniec lekcji. To wtedy zaczynało się dla mnie prawdziwe życie. Życie pełne przygód i wzajemnego zaufania. Zupełnie dla mnie nowych i nieznanym wrażeń.

Myślałam, że tak już będzie zawsze. Że dzięki Adamowi przetrwam. O święta naiwności. Tylko młodość ma tyle odwagi, by używać słów „nigdy” i „zawsze”.

Zobaczył nas kiedyś nad rzeką. Adam sikał pod drzewem, a ja puszczałam kaczkę z kamyków. Podszedł prawie bezszelestnie i złapał Adama za kark.

– Co robisz, ty mały zboczeńcu? – wysyczał.

– Nic, proszę pana – odpowiedział Adam. Był przerażony. – Naprawdę nic.

– Już ja wiem, co wy tu robicie. Bezwstydniczo – zwrócił się do mnie – zobaczysz w domu. Już ja ci wybiję te bezceństwa z głowy!

– Ale my naprawdę nic nie robimy – skomlałam.

– Do domu, powiedziałem! A ty, kolego, zaprowadzisz mnie do swojego ojca. Już ja mu opowiem, jakiego zboczeńca wychował.

– Nie, proszę pana. – Adam niemal zaczął płakać. – Bardzo pana proszę. Ja naprawdę nic nie zrobiłem.

– Wytłumaczysz to swojemu ojcu – ruszył, trzymając Adama przed sobą.

– Zostaw go! – Rzuciłam się na NIEGO. – Puszczaj.

Adam wykorzystał zamieszanie, wyszarpnął się i uciekł, ile sił w nogach.

– Znajdę cię, gówniarzu, pamiętaj – krzyknął jeszcze, zanim zaczął mnie wlec do domu.

Czekałam na Adama następnego dnia przy szkole. Ominął mnie szybko, nawet nie spojrzał w moją stronę. Dogoniłam go nie bez trudu. Wszystko mnie bolało po wczorajszym wieczorze.

– Co jest? Co ja ci zrobiłam? – zrównałam się z nim.

– Nie mogę się z tobą spotykać. – Jego słowa zupełnie mnie zaskoczyły.

– Przecież ja ci nic nie zrobiłam!

Nie odpowiedział, zacisnął tylko mocniej usta. Nic nie rozumiałam.

– Przecież to nie ja, słyszysz? ON to nie ja!

– Wiem.

– To czemu tak mówisz?

– Tak musi być. Nie możemy się widywać!

– Dlaczego taki jesteś? – Byłam przerażona. – Dlaczego mnie odtrącasz? – Prawie płakałam. – Nie bój się GO. Razem sobie z NIM poradzimy.

– Nie rozumiesz? Ty niczego nie rozumiesz, prawda? – wybuchnął. – ON nie może dotrzeć do mojego ojca!

– Przecież wytłumaczysz tacie, jak było naprawdę! Chyba ci uwierzy?

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz! On nie może dotrzeć do mojego ojca, bo mojego



ojca nie ma!

– Jak to? – Stałam jak wryta.

– Nie ma! Jest gdzieś w trasie. Jest kierowcą ciężarówki – odpowiedział zrezygnowany.

– No to chyba tym lepiej, prawda? – spytałam ostrożnie.

Nie byłam pewna, czy dobrze go rozumiem.

– Nie, nie lepiej! – odpowiedział zirytowany. Odwrócił się w moją stronę. – ON nie może się dowiedzieć, że ojca nie ma. Nikt nie może się dowiedzieć.

– Dlaczego?

– Ojciec mówi, że jak ktoś się dowie, że mieszkam sam, to mnie zabiorą do biduła.

– A gdzie twoja mama? – Miałam mętlik w głowie.

– Nie mam matki. Rozumiesz? Nie mam.

– To dlatego nie chciałeś, aby cię ktoś polubił. Bałeś się, że ktoś się dowie.

Powoli wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

– Tak, pani psycholog. Jeśli komukolwiek piśniesz, to...

– Nie pisnę! – przerwałam mu obrażona. – Nie powiem nikomu.

– Nie mogę się z tobą więcej widywać. Nie szukaj mnie, nie naciskaj.

– Ale...

Odwrócił się na pięcie i odszedł, nie pozwoliwszy mi skończyć.

Powlekłam się zrezygnowana do domu, z trudem radząc sobie z potwornym szumem w głowie.

\*\*\*

Przez najbliższe dni wychodziłam z domu tylko po to, by pójść do szkoły. Większość czasu spędzałam, leżąc na łóżku i gapiąc się w sufit. Byłam już wtedy na tyle duża, aby wiedzieć, że są doświadczenia, które odbierają dech. Nie tylko szczęście i zachwyt. Jest taki rodzaj cierpienia, kiedy ból nie pozwala uwolnić z siebie krzyku. A ten krzyk trwa. Brzmi wewnątrz, odbijając się w duszy przerażającym echem.

Nie chciałam zaakceptować decyzji Adama, a jednocześnie nie potrafiłam nic z tym zrobić. Leżałam i łudziłam się nadzieją, że może przeczekał jego lęk. Może za kilka dni zatęskni za mną tak bardzo, że będzie chciał mnie zobaczyć. Wymyślimy razem metodę, jak spotykać się bezpiecznie, aby się na NIEGO nie natknąć. Wszystko wróci do normy i znów będę miała po co wstawać z łóżka.

Innym razem wyobrażałam sobie rozmaite scenariusze, gdzie ktoś odkrywa sekret Adama i pozbawiają jego ojca praw rodzicielskich, a on sam trafia do domu dziecka. Wtedy ogarniał mnie paniczny lęk. Dlatego nie potrafiłam zrobić kroku w stronę naszego pojednania. Potem myślałam o tym, że jest głodny, i chciałam biec zanieść mu chociaż kanapkę. I znów paraliżował mnie strach. Przez chwilę miałam nawet pomysł, aby dawać mu ją przez Mariusza. Zawziętość sprawiła, że się na to nie zdobyłam. Tłumaczyłam sobie, że jak będzie głodny, to może szybciej zechce się ze mną pogodzić.

Zmuszę go w ten sposób. Potrzebowałam go. Tęskniłam za nim. Moje małe życie nie miało bez niego sensu. Muchy na suficie trwały w bezruchu. Podobnie jak ja. Zamarłam w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy.

„Coś” się w końcu wydarzyło. Potoczyło się lawiną następstw trudnych do przewidzenia. Do dziś wyrzucam sobie, że gdyby nie moje odrętwienie, nigdy by do tego nie doszło. Choć może było to jednak tylko kwestią czasu.

Ojczym zbierał w kuchni porozrzucane zabawki Janka. Słyszałam, jak sapie przy każdym nachyleniu się. Mocniej zacisnęłam oczy.

– Ruszysz się w końcu z tego wyra? – Usłyszałam nad głową. Drgnęłam. – Lenie śmierdzące. Może wzięłabyś się za robotę i posprzątała w mieszkaniu? Zaraz matka wróci z pracy, a tu taki chlew.

Nie poruszyłam się. Nawet nie otworzyłam oczu. Rozsierdziłam go tym.

– Pasożyty jedne. Wyszysacie krew z matki, nie ma sił na was harować, a sami nic nie robicie!

– My wysysamy krew z matki? – nie wytrzymałam. Poderwałam się z łóżka. – My? To ty przepijasz wszystkie pieniądze i ona musi pracować na kilka zmian! To ty jej w niczym nie pomagasz! – wrzeszczałam.

– Ja jej nie pomagam? – Widziałam narastającą w nim wściekłość. Wiedziałam, że powinnam się wycofać, ale było mi wszystko jedno. Niech mnie zabije. Niech mnie w końcu zabije, wtedy nie będzie tak boleć. – Wydaję wszystkie pieniądze na jej bachory! Wziąłem was pod swój dach. Pozwoliłem wam mówić do mnie tato...

– Nie jesteś naszym tatą – przerwałam mu. – Mój tata nie chlał jak świnia. – Uderzył mnie w twarz tak, że upadłam na tapczan, ale nie zamierzałam przestać. – Mój tata był wspaniałym człowiekiem. Kochał nas, a ty nie kochasz nikogo! Tylko siebie.

– Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem? – Zacisnął rękę na mojej szyi i podniósł mnie do góry, opierając o ścianę. – To ja ci powiem, jakim twój ojciec był człowiekiem! Był zaszranym egoistą. Tchórzem. Zabił się, bo był tchórzem.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, bo czerwony ze złości Mariusz wbiegł do pokoju i zaczął go okładać pięściami.

– Nie mów tak – wrzeszczał. – Nie mów tak o moim tacie!

Uścisk zelżał i osunęłam się po ścianie. Teraz ON chwycił Mariusza za pięść i wykręcił mu rękę.

– Twój ojciec był gnidą, która żerowała na innych. Na twojej matce i na teściach. Był cieniem, który gdy tylko pojawiły się problemy, odebrał sobie życie. – Mariusz bezskutecznie próbował się wyswobodzić. W oczach miał łzy, był wściekły. – Choć trochę go nawet rozumiem. Zabił się przez was, bo kto mógłby z wami wytrzymać! – Nie umiał ukryć satysfakcji z wypowiedzianych słów.

– Ty świnio – wrzeszczał Mariusz w histerii.

Drugą ręką nadal próbował GO okładać.

– Ja się przez was nie zabiję. Ja sobie z wami poradzę. Wytresuję was. Będziecie wiedzieli, jak odzywać się do ojca – syczał, tłukąc mojego brata, gdzie popadło.

Próbowałam GO od niego odciągnąć, ale jednym ciosem rzucił Mariuszem przez pokój. Brat zatoczył się i upadł, uderzając się głową o stół służący nam za biurko.

– Ja was wytresuję. Nauczycie się szacunku – dyszał. – Nic niewarte szczeniaki. Takie same gówna jak ich ojciec. – Popchnął mnie na tapczan i zaczął wyciągać ze spodni skórzany pas.

Czekając na spadające razy, zauważyłam kątem oka, że Mariusz ciągle leży w tym samym miejscu i się nie podnosi. Poderwałam się i chciałam do niego podbiec, ale chwycił mnie za rękę i rzucił z powrotem na łóżko. Pas uderzał często i precyzyjnie.

– Mariusz – krzyczałam z całych sił przez łzy.

Wtedy do pokoju wpadła matka z Jankiem trzymającym się kurczowo jej ręki. Początkowo jej nie zauważył i w zapamiętaniu zadawał kolejne razy. W końcu ręka zawisała mu w górze, gdy usłyszał przerażony płacz dziecka. Zobaczył matkę pochyloną nad Mariuszem. Wyciągała mu z gardła język, którym się dusił. Gdy na powrót zaczął oddychać, podniosła go z ziemi, zataczając się pod ciężarem. Brat jęknął z bólu. Obejrzała go dokładnie, co wywołało jego kolejne postękiwania.

– Mira, zejź z łóżka. Muszę go położyć. – Delikatnie ułożyła go na pościeli. – Coś ty zrobił?! – Wysyczała do NIEGO przez zaciśnięte zęby. – Dotknij ich jeszcze raz, a sama cię zabiję! – Dodała, wychodząc do kuchni po lód, który przyłożyła Mariuszowi do twarzy.

\*\*\*

Mariusz wymiotował przez całą noc, w końcu nad ranem zabrali go do szpitala. Ja i Janek też musieliśmy jechać, bo nie mieliśmy z kim zostać. Gdy tylko przyjęli go na oddział, ojczym z bratem wrócili do domu. Wyłam, że nie chcę z nim jechać, więc matka pozwoliła mi zostać. Nie chciała zwracać na nas zbyt dużej uwagi. Wieść jednak dosyć szybko się rozniosła, bo za chwilę zaczęły do nas zaglądać pielęgniarki. Matka wszystkim cierpliwie tłumaczyła, że Mariusz wywrócił się wieczorem na rowerze dość niebezpiecznie, a ja jestem z nim bardzo emocjonalnie związana. Nie wiem, czy ktoś uwierzył jej zapewnieniom, czy po prostu nie było zwyczaju wnikać w cudze sprawy, w każdym razie nie wracano już do tego tematu.

Mariusz miał złamane żebro i szczękę oraz wstrząśnienie mózgu. W szpitalu leżał kilka dni, jednak już nie wrócił do domu. Nikt oczywiście ze mną o tym nie rozmawiał. Ojczym z matką mijali się w milczeniu. Nie padło żadne „przepraszam”, żadne „jak się czujesz”. Tylko Janek w swym prostym dziecięcym odruchu głaskał mnie po głowie, gdy leżałam w łóżku. Do szkoły nie chodziłam, bo posiniaczone nogi mogłyby zwrócić czyjąś uwagę. Nie było powodu, dla którego miałabym się w ogóle podnieść z łóżka. Byłam wściekła na Adama. Nie na nich, tylko na niego. Obiecował, że mnie stąd zabierze...

Któregoś dnia matka zapakowała kilka moich rzeczy do szkolnego plecaka i pojechałyśmy PKS-em do dziadków. Mieszkali 40 km od nas, więc miałyśmy wystarczająco dużo czasu, aby porozmawiać. Ale uparcie milczała. Ona nic nie mówiła, a ja nie pytałam. Była taka obca i odległa. Od dawna marzyłam o takiej chwili z nią sam na sam. O wspólnej podróży, choćby o spacerze, który odbyłybyśmy tylko we dwie. Oddałabym wszystko, aby przytulić się do tej wyniosłej kobiety i jak kiedyś poczuć zapach jej swetra. Kojącą mieszankę potu i perfum. W takiej chwili mogłabym wybaczyć jej wszystko. Dla jednego ludzkiego odruchu. Dla jednego głupiego gestu.

Mariusz był już u dziadków. Nie wiem czemu, ale nie zdziwiło mnie to. Podbiegłam do niego i przytuliłam z całych sił. Szybko jednak puściłam go zmieszana. On też nie wiedział, co począć z takim gestem. Matka rozpakowała moje rzeczy w małym pokoiku za kuchnią. Położyła je obok leżących już tam rzeczy brata. Nieśmiała iskierka nadziei zatliła się w moim sercu. Więc w końcu od niego odeszła. Teraz tu będziemy mieszkać. Mimowolnie się uśmiechnęłam, podbiegłam do matki i objęłam ją z całych sił w pasie. Odwróciła się do mnie i mnie przytuliła. Wyciągnęła rękę także po Mariusza, który podszedł powoli, z rezerwą. Całowała nas po głowach z dziką pasją, jakby ktoś chciał jej nas odebrać. Potem zamarła, tuląc nas do siebie z całych sił. Czulałam, że się wycisza. Że jej oddech wraca do normy. Wciągnęła mocno powietrze i odsunęła nas na odległość ręki. Popatrzyła w milczeniu, zanim słowa, których nie zapomnę do śmierci, zaczęły wychodzić z jej pięknych, lodowatych ust:

– Zamieszkacie tutaj. Z dziadkami. Ja muszę zostać z Jankiem, bo on jest malutki i potrzebuje mnie znacznie bardziej niż wy.

„My też cię potrzebujemy – chciałam krzyknąć – ale zdumienie odebrało mi mowę”.

– Będę was odwiedzać w każdą sobotę, a na ferie przyjadę z Jankiem na tydzień. Będziecie chodzić do tutejszej szkoły. Tutaj klasy są mniejsze niż w mieście, ale dzieci bardzo przyjazne, więc na pewno szybko znajdziecie kolegów.

Patrzyliśmy na nią szeroko otwartymi oczami. Równie dobrze mogła mówić do nas po chińsku i zrozumielibyśmy tyle samo.

– Na wsi można robić dużo fajnych rzeczy – dodała szybko. – Jest tu wiele zwierząt. Miro, dziadek ma przecież gołębie. Spodoba ci się. Lubicie się bawić z Brutusem. A tutaj oprócz psa, gołębi, kotów są jeszcze świnki i krowy. Będziecie zachwyceni.

Nie płakałam. Patrzyłam prosto przed siebie w twarz tak ukochaną i zarazem tak obcą, starając się spojrzeć w oczy tej potwornej ostateczności, której zwiastunem były słowa usłyszane przed chwilą. Stałam tak, nagle przejmująco zziębnięta, bez łez, bez czucia. Wrażenie musiało być tak przerażająco silne, że nawet drewniana Anna poczuła się nieswojo. Kontynuowała, nie wiedząc, co zrobić z tą niezręczną ciszą:

– Nic złego wam się nie stanie, będziecie mieć dobrą opiekę. Nie patrz tak na mnie.

Początkowo dziadek będzie was odprowadzał do szkoły, dopóki nie zapamiętacie drogi. Babcia, jak wiecie, niewiele się rusza po operacji biodra, więc starajcie się jej nie fatygować. Dziadek ma mnóstwo pracy na polu, dobrze by było, gdybyście w miarę możliwości mu pomagali. Przynajmniej tak się odwdzięczymy za ich pomoc. Ten pokój będzie wasz, z drugiej strony kuchni jest pokój dziadków. Wiem, że będziecie grzeczni, bo jesteście dobrymi dziećmi. Może za jakiś czas, jak trochę podrośnięcie, wrócimy razem do domu.

Dopałam do niej i wybuchłam płaczem.

– Nie rób tego, proszę – szlochałam w jej pierś.

– Tak musi być – powiedziała szeptem. – Tak musi.

„Matko, po co tak walczyłaś o mnie przy porodzie, skoro dziś sama mnie uśmiercasz bez mrugnięcia okiem?”. Popatrzyłam w jej stalowe oczy i zaciśnięte zęby i straciłam wszelkie złudzenia. Ona dzisiaj też umarła. Jednym zdaniem uśmierciła trzy osoby.

Z dziurawą duszą i myślami ściśniętymi w pięści wiedziałam, że wszystko się już stało.

# Śmierć czwarta

**rok 1999**

Kolorowałam rysunek już ponad pół godziny. Hania denerwowała się, gdy z roztargnienia zdarzało mi się wyjść poza linię. Używanie kredek ołówkowych wymuszało wielokrotne powielenie kreski, aby wypełnić całe pole. Moje myśli były tak daleko, że ten monotony ruch odbywał się bez większej kontroli umysłu. Pohukiwała wtedy na mnie z wyrzutem, że się nie staram. A przecież musi być pięknie. Tata, gdy wróci, powinien się zachwycić. Popatrzyłam na nią z czułością i narzuciłam sobie dyscyplinę. Trwała do pierwszego wspomnienia o niezałatwionych sprawunkach. Zestaw spraw do zrobienia układał się powoli w uporządkowaną listę. Gdy tylko przestanie lać, ubiorę Hankę i pobiegniemy na bazarek po ziemniaki do obiadu. Po drodze wstąpimy na pocztę, opłacić zaległe rachunki. W tym miesiącu Jarek dostał pensję z małym poślizgiem, więc minął termin niektórych należności. Muszę to koniecznie zrobić dzisiaj, żeby nie naliczały się odsetki. Trzeba też kupić mleko na kakao, może jakieś wino do wieczornego filmu...

– Mamooo! – potrójne „o” przywołało mnie do porządku. – Nie starasz się!

Mały palec w oskarżycielskim geście wskazywał na linię pociągniętą znacznie poza wytyczone granice.

– Przepraszam, kochanie, zamyśliłam się. Na szczęście istnieje gumka, widzisz? – Szybkim ruchem usunęłam wszelkie ślady zbrodni i uśmiechnęłam się w wyrazie skruchy.

Nie zrobiło to jednak na córce większego wrażenia. W ocenach była bardzo surowa.

– Tata nie lubi, gdy jest byle jak.

– Myślę, że się nie pogniewa za to małe uchybienie. – Śmiałam się w myślach, patrząc poważnie w jej piwne oczy.

Nie była przekonana.

Córeczka tatusia. Poza pedantyzmem wzięła z niego także tę śmiertelną powagę w podejściu do spraw, które oceniała jako ważne. A ważne stawało się właściwie wszystko, co dotyczyło ukochanego ojca. Jawna niesprawiedliwość i kpina losu. Poświęciłam jej pięć lat. Z przywilejem wyłączności. Pięć lat żmudnej rehabilitacji napięcia mięśniowego. Trzy razy w tygodniu w Centrum Rehabilitacji Atut dzięki

fundacji „Podaj rękę”, dwa razy w przychodni dzięki finansowaniu NFZ i raz prywatnie u masażysty. Do tego zajęcia na basenie, ćwiczenia w domu. Wolne miałam niedziele, kiedy wybieraliśmy się na obiad do teściów i mogłam z pozycji kanapy obserwować zabiegających o względy wnuczki dziadków. Pięć lat rezygnacji z ambicji i pracy zawodowej, by jedynym i niepodważalnym autorytetem oraz obiektem niesprawiedliwie ulokowanej miłości stał się ojciec. Zgroza.

„Ech, życie!” – pomyślałam z przekąsem i odgarnęłam niesforne kosmyki włosów spadające na Hanine oczy. Moja piękna i mądra córka. Moje życie...

Te lata wzajemnej bliskości wytworzyły niesamowitą więź. Czulałam, że oddycham powietrzem wydychanym przez nią, że jest jedną z moich kończyn, że stałyśmy się jednością. A może to nie wynikało wcale z tego nieustannego przebywania ze sobą? Może ma tak każda matka? Nie wiem. Mogłam funkcjonować wyłącznie wtedy, gdy czulałam zapach jej włosów. Wszystko inne zdawało się pozbawione sensu. Moja własna morfina. Ukojenie na cały ból tego świata. Pierwszy i jedyny w moim życiu ktoś, kto mnie kocha bezwarunkowo. Nie dlatego, że jestem ładna lub brzydka, miła, zdolna czy posłuszna. Kocha po prostu za to, że jestem. Bez wymagań. Niebывałe uczucie. Odurzające. Niewyobrażalne, że mogłam się bez niego obejść, gdy dziś zdaje mi się niezbędne jak powietrze. „Nawet jeśli muszę je dzielić z Jarkiem w nierównych proporcjach” – pomyślałam z uśmiechem.

Poderwałam się z podłogi i pociągnęłam małą za rączkę.

– Chodź, Haneczko, pójdziemy na zakupy. Mama kupi ci coś pysznego – dodałam pospiesznie, widząc wyraz niezadowolenia na jej twarzy.

\*\*\*

Pod wieczór Hankę rozbolało gardło. W nocy nie dała nam spać, pojękując raz po raz przy połykaniu śliny.

– To przez tego loda – wyrzucałam sobie, nakrywając się kołdrą po kolejnej próbie znieczulenia gardła preparatem Tantum Verde. – Nie powinnam była jej go kupować.

– Nie powinnaś. Tym bardziej że cały dzień lało i temperatura znacznie spadła – przytaknął Jarek.

– Tak prosiła, że nie umiałam odmówić – próbowałam się przed nim wytłumaczyć.

– Zbyt łatwo jej ulegasz. Robi z tobą, co chce. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Więcej charakteru!

– Przecież wiesz, że się staram. Jesteś niesprawiedliwy! – rzuciłam w swojej obronie, wiedziałam jednak, że to nieprawda.

Nieustanne poczucie winy towarzyszące mi od orzeczenia lekarskiego tuż po porodzie było podstawową przeszkodą w racjonalizacji moich zachowań. W ciąży nie przestałam palić papierosów, nie widziałam też powodu, dla którego miałam rezygnować z mocno zakrapianych alkoholem imprez u znajomych w akademikach. Nie czulałam odpowiedzialności za dziecko, które nosiłam. Kipiała we mnie złość na ten

nieprzewidziany bagaż komplikacji. Do dziś mam problem z rozróżnianiem dobra od zła. Nikt mnie tego nigdy nie nauczył. Poruszam się w tej kwestii zupełnie intuicyjnie, obserwując innych.

– Kiedyś sobie z tym poradzę – dodałam cicho i wyłączyłam lampkę.

– Zanim to jednak nastąpi, rozpuścisz ją jak dziadowski bicz! – Jarek odwrócił się do mnie plecami, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną. – Jesteś w nią tak wpatrzona, że nie masz już swojego życia. Cały twój świat kręci się wokół niej. Gdy się z tobą żeniłem, miałaś tyle do powiedzenia – rzucił jeszcze przez ramię, by mnie dobić.

Do rana nie mogłam zasnąć, nasłuchując pojękiwań z sąsiedniego pokoju i rozmyślając nad tym, co powiedział mąż. Czy rzeczywiście można rozpuścić dziecko? I czy można mu poświęcać za dużo uwagi? Czy to w ogóle możliwe?

Nam dziadkowie nie poświęcali jej zbyt wiele. Babcia – z czasem coraz bardziej sparaliżowana – właściwie nie opuszczała pokoju. Oglądała *Dynastię*, *Modę na sukces* i wszystkie wenezuelskie seriale, jakie tylko emitowano w telewizji publicznej. Zresztą dwa lata później zmarła. Dziadek – zmęczony po pracy na polu i wieczornym obrzędkiem przy zwierzętach – siadał przed telewizorem z piwem w ręku i odpływał. Nierzadko zasypiał w takiej pozycji. Zdarzało mu się pić tak dużo, że nie wstawał z łóżka przez cały dzień. Czasem grzebnął z Mariuszem coś przy motorze, który od lat stał w stodole. Znał się na mechanice, a widząc, że Mariusz się tym interesuje, skupił się na przekazaniu mu swoich umiejętności. Ten zaś chłonał wiedzę jak gąbka.

Właściwie nikt się nami nie zajmował. Co prawda, dziadkowie nie gnali nas do ciężkich obowiązków na roli, ale też nie bardzo interesowało ich, co robimy. Bardzo szybko nauczyliśmy się to wykorzystywać. Początkowo sprawdzaliśmy granice, do których możemy dojść, pojawiając się w domu coraz później. Potem nauczyliśmy się zostawiać otwarte okno w pokoju i niekiedy wracaliśmy dopiero nad ranem z sobotniej zabawy, która odbywała się w remizie, a na którą byliśmy stanowczo za młodzi.

Anna odwiedzała nas co tydzień. Z czasem co dwa tygodnie. W ferie i wakacje przyjeżdżała na dłużej. Z Jankiem. Bez NIEGO. Przywoziła jedzenie, nowe ubrania dla nas, bo ze starych wyrastaliśmy w zastraszającym tempie. Zawsze na odchodne mierzyła nas w pasie, w ramionach, w długości i zapisywała to skrupulatnie w swoim kalendarzyku. I za każdym razem kiwała ze zdumienia głową, że zdążyło nam przybyć tych kilka centymetrów. Przez większość czasu gotowała na kolejne dni, sprzątała dom dziadków, słuchała naszych opowieści, podpisywała uwagi w dzienniczku, rozliczała pieniądze z dziadkami. My bawiliśmy się z Jankiem, właściwie niewiele ją widując. Wieczorem wspólnie oglądaliśmy film, a nazajutrz szliśmy na poranną mszę. Po niedzielnym obiedzie wyjeżdżała, zostawiając dziadkowi plik banknotów.

Pamiętam, że najgorsze było poczucie beznadziei. Nawet nie samotność, bo to mogłam sobie jakoś wytłumaczyć, okropny był brak celu. Z czasem zaczęło mnie



interesować codzienne odrabianie lekcji. Miałam swoje pensum, naćkany obowiązkami kalendarz, i marzyłam, by odfajkować dzień, tydzień, miesiąc.

W szkole szło mi nieźle. Z nudów czytałam książki. Budowałam swój świat wokół wymyślonych historii oraz każdego, kto chciał mi dać choć odrobinę czułości, wkładając swoją rękę pod moją bluzeczkę. Prowadziłam dwa równoległe życia: to, w które wierzyłam, że jest prawdziwym, osnute wokół Achmatowej, Dostojewskiego, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, oraz to, które pozwalało choć trochę zaspokoić potrzebę bliskości. Gdy odkryłam Broniewskiego, a potem Różewicza, Baczyńskiego i Borowskiego, moje nocne eskapady chwilowo ustały. Poczułam, że nie jestem sama. Dokonałam oszałamiającego odkrycia: należę do pokolenia Kolumbów! Czułam z nimi więź, majaczyłam, że przeżyłam wojnę, swoją wojnę, dlatego moje życie i stany emocjonalne są tak podobne do tych opisywanych przez nich. Nie byłam sama. Dzięki wkroczeniu ze swoimi doświadczeniami w świat ich wierszy stałam się częścią większej społeczności. Jakiegokolwiek społeczności... Byłam Ryfką z gruzów Broniewskiego. Oni byli winni...

Pisałam wtedy wiersze jak opętana. Zaczęłam się uczyć z nadspodziewaną gorliwością. Chciałam wiedzieć. Mój umysł upajał się tą wiedzą. *Idiotę* Dostojewskiego zastąpiłam *Rokiem 1984*, *Kartoteką*, *Rozmowami z katem* czy *Zdążyć przed Panem Bogiem*. Dziś, gdy ponownie czytam te lektury, zachodzę w głowę, co ja z nich wówczas rozumiałam. Pamiętam jednak, że mnie hipnotyzowały. Porządkowały mój świat. Wpisały się jednocześnie w okres lektur szkolnych, więc moje wyniki naukowe przerosły oczekiwania Anny. Pamiętam, jak patrzyła na świadectwo z czerwonym paskiem, a w jej oczach błyszczały łzy. W przypływie emocji podarowała nam wtedy rower. Mieliśmy się nim dzielić. Rozbiłam go z rozmysłem przy pierwszej przejażdżce, wjeżdżając z impetem w słup wysokiego napięcia. Mariusz – wściekły na mnie – nie wychodził ze stodoły przez trzy dni, próbując naprawić scentrowane koło i na nowo zapleść szprychy. Udało mu się, ale ja już nigdy nie dotknęłam roweru.

Jednocześnie zaczęłam przeżywać fascynację religijnością. Rodzajem uwolnienia, jakie daje poczucie, że dla kogoś jestem ważna. Że choćby świat zapomniał, On wie o każdym poruszeniu mojego włosa na głowie. Że mój zakichany los jest częścią jakiegoś większego, niepojętego przeze mnie planu. Po nocno-sobotnich macankach klękałam w niedzielę przed ołtarzem Jezusa Miłosiernego z poczuciem, że wszystko jest na swoim miejscu, bo On wie, jak bardzo to boli.

Czytałam całkiem niedawno wywiad Teresy Torańskiej z Edmundem Wnukiem-Lipińskim, profesorem nauk humanistycznych, socjologiem, który najpierw stracił w wypadku piętnastoletniego syna, a potem żonę, którą pokonał rak. Rozpaczał, buntował się i pytał, dlaczego umierają dobrzy ludzie, a źli zostają, i dlaczego te nieszczęścia dotknęły akurat jego. Pamiętam dokładnie, co mówił o równowadze dobra

i zła, bo miałam wrażenie, że już w wieku kilkunastu lat intuicyjnie to rozumiałam: „Tereso, nie ma równowagi. Gdyby istniała, gdyby zło można było od siebie oddalić przez czynienie dobra, pozbawieni zostalibyśmy wolnej woli. (...) Gdyby każde dobro było nagradzane, a każde zło karane, byłibyśmy jak psy Pawłowa reagujące na bodźce. (...) A ponieważ nagrody i kary są rozłożone losowo, spadają na człowieka w sposób nieuregulowany żadnymi kodeksami, na oślepie, jesteśmy wolni. Także w czynieniu zła”.

Z Mariuszem początkowo trzymaliśmy się razem. Połączeni łąką, bólem, samotnością. Z czasem jednak każde poszło swoją drogą, nie oglądając się na drugie. Od czasu zaś, kiedy brat przez przypadek natknął się na mnie i Marka Kotasa, ojca naszej koleżanki, który obściskiwał mnie za remizą, właściwie przestał ze mną rozmawiać, nie licząc rzadkich sytuacji, które wymuszały konieczność wymiany zdań. Próbował wtedy zdjąć ze mnie Marka i powalić go na ziemię swoimi lichymi pięściami, czym zupełnie mnie rozsierdził. Nie miał o niczym pojęcia, był jeszcze strasznym dzieciakiem, a jego zachowanie wzbudziło we mnie jedynie pusty śmiech...

Ja wyizolowałam się od świata literaturą, on drewnianymi ścianami stodoły, w której bez końca grzebał przy motocyklu. Miałam podejrzenia, że gdy już wszystko naprawi, rozkręca maszynę na nowo, aby nie mieć pretekstu do wyjścia i zweryfikowania, czy jego umiejętności wystarczą, by odpalić powojennego diabła.

Z nikim się nie przyjaźnił, nikt go nie odwiedzał. Sprawiał wrażenie, że nikogo nie potrzebuje. Zamknięty w sobie, wstydlivy, nieśmiały. Miał delikatne rysy, których nie stracił, gdy ciało przybrało męski wygląd. Podobał się dziewczynom. Jego tajemniczość dodawała mu atrakcyjności. Przychodzące do mnie koleżanki bezskutecznie próbowały go podrywać, a z czasem już tylko zawstydzają. Uciekał przed nimi do stodoły.

Dojrzewaliśmy samotnie, tracąc ze sobą kontakt. Czasem męczyły mnie wyrzuty sumienia, bo wiedziałam, że Mariusz nie ma nikogo, z kim mógłby się dzielić sukcesami, porażkami czy choćby wątpliwościami. Nie umiałam jednak zrobić kroku, przerwać tej zapyry milczenia, rosnącej konsekwentnie każdego dnia. Wszystko, co mogłam w takiej sytuacji powiedzieć, wydawało się śmieszne. Każdy gest w jego stronę był infantylny i sztuczny. Czułam fałsz w każdej z możliwości i wiedziałam, że on też go bezbłędnie wyczuje. Nie potrzebowaliśmy więcej sztucznych relacji. Wystarczyło, że wszyscy wokół udawali, iż nic się nie stało. Jakby sytuacja, w której się znaleźliśmy, była zupełnie naturalna. Jakby rodzina, którą tworzyliśmy, nie różniła się niczym od tysięcy innych.

Zdecydowanie nie potrzebowaliśmy kolejnych pozorów. Szanowaliśmy się na tyle, by się nimi nie ranić. W konsekwencji oddalaliśmy się od siebie jeszcze bardziej. Nie wiedziałam nawet, że Mariusz miał poważne problemy w szkole i ledwo dostał się do zawodówki. Mogłam mu pomóc w nauce, nie wymagało to ode mnie wielkiego wysiłku. Ale nigdy nie poprosił. A ja nie zaproponowałam...

Na filologię polską dostałam się bez problemu. Nie były to wymarzone studia, a raczej naturalna konsekwencja. W Warszawie utrzymywałam się dzięki stypendium socjalnemu i naukowemu. Żyłam skromnie, ale grunt, że wystarczało na weekendowe imprezy. W tygodniu mogłam jeść chleb z keczupem. Czułam się znacznie dojrzała od zahukanych kolegów i koleżanek z grupy, ciągle z nosami w książkach. Zresztą oni też jakby machinalnie przejęli ten punkt widzenia. Imponowała mi ta służalcza atencja. Umiałam też z niej korzystać. Czułam się silna, lubiana, wygrana... W końcu zaczęłam widzieć przed sobą perspektywy.

Jarka poznałam na jednej z imprez. Wysoki blondyn z gęstymi włosami związanymi w długi ogon. Nieco mroczny. Stawiał tarota, a rząd rozchichotanych dziewczyn czekał grzecznie w kolejce na swoją kolej. Podjęłam wyzwanie. W tę majaczącą od alkoholu noc nieoczekiwanie stałam się powiernikiem, a chciałam być tylko panienką, której wspomnienie następnego dnia nie będzie nawet dostatecznie wyraźne. Zaproponowałam mu swoje ciało, ale je odrzucił. I robił tak przez kolejne cztery miesiące. Zniewolił mnie tym samym jakąś dziwną mieszanką determinacji, współczucia, tkliwości i niezaspokojenia. Kiedy wreszcie miało się już dokonać to, na co z taką niecierpliwością czekałam, złapałam się na tym, że odczuwam pewien wstyd.

Stawialiśmy tarota, żeby poznać odpowiedzi na wszystkie pytania. Kupić komputer czy wyjechać na wakacje, wybrać tapczan czy wersalkę. Od kart zależało nawet wyjście na imprezę. Jednak głupio milczały, że w moim łonie rozwija się człowiek. Ślub wzięliśmy, gdy byłam w siódmym miesiącu ciąży, tuż po obronie pracy magisterskiej.

Hania urodziła się z 7 punktami w skali Apgar, jednak już niedługo później neonatolog skłaniał się ku hipotezie, że wymaga pilnej konsultacji neurologicznej. Miała znacznie podwyższone napięcie mięśniowe. USG przeciemiążkowe dało wynik pozytywny, co potwierdziło obawy pediatry. Przestraszyliśmy się, zupełnie nie rozumiejąc, co to właściwie oznacza. Z czasem przekonaliśmy się, że mocno przesadziliśmy z panicznymi reakcjami. Maleństwo potrzebowało po prostu spokojnej, długoterminowej terapii, a nie intensywnej i doraźnych działań. Poczucie winy za doprowadzenie do tego stanu miało mnie już nie opuścić do końca życia, choć lekarze nie potrafili jednoznacznie stwierdzić przyczyn występowania podwyższonego i obniżonego napięcia. Zapewniano nas, że jeżeli uzbrowimy się w cierpliwość i szybko podejmiemy rehabilitację, to za dwa, trzy lata dziecko dogoni rówieśników. Trwało to pięć lat i nałożyło na mnie szereg obowiązków oraz wyrzeczeń. Nie mogłam podjąć pracy zawodowej, bo mała wymagała – poza opieką profesjonalistów – specjalistycznego zajmowania się nią dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nasze starania pomogły Hani wyjść na prostą, nadrobić stracony czas i rozwijać się prawidłowo. Za trzy miesiące ona miała pójść do pierwszej klasy, a ja zamierzałam w końcu podjąć pracę. Co prawda, zupełnie niezwiązaną z wyuczonym zawodem, ale

trudno wybrzydzać, nie mając żadnego doświadczenia. Posadę w hurtowni załatwił mi teść dzięki swoim rozległym kontaktom. Wiedział, że mija się ona znacząco z moimi wyobrażeniami, ale prosił, abym potraktowała ją jako tymczasową. Jako pewnego rodzaju trampolinę, która pomoże mi na nowo nawiązać kontakty z ludźmi, nabrać rozpędu i odzyskać wiarę w siebie. Niska pensja nie stanowiła w jego oczach problemu, w końcu Jarkowi utrzymywanie nas przychodziło bez trudu.

Rzeczywiście Jarek zarabiał lepiej niż dobrze. Te pięć lat, które mnie ściągnęło do poziomu intelektualnego siedmiolatki, jemu pozwoliło na całkowite oddanie się pracy i wspinanie po drabinie korporacyjnej kariery. Ukoronowaniem tej drogi był tytuł dyrektora regionalnego, który zdobył w poprzednim miesiącu. Bank, dla którego pracował, szczyił się prorodzinną polityką kadrową. Niestety, nie miałam okazji się o tym przekonać, bo z oczywistych przyczyn nie mogliśmy wziąć udziału w żadnych zawodach sportowych, piknikach i projektach stypendialnych. Jarek ochoczo tłumaczył wszystkim więcej i mniej zainteresowanym, dlaczego nie pojawiajemy się na żadnej uroczystości. Przyobłókl się w wizerunek doświadczonego życiem ojca, borykającego się poza pracą z trudem wychowywania chorego dziecka. Jego doskonałe wyniki w zaistniałej sytuacji spotykały się z tym większym uznaniem pracodawców. Mogę więc z pewną przekorą powiedzieć, że uczciwie zapracowałam na ten patetyczny i profesjonalny wizerunek, który bezpośrednio przełożył się na standard mojego życia.

Z niecierpliwością oczekiwałam pójścia do pracy. Powrotu do świata dorosłych, błahych spraw i intelektualnych wyzwania. Tęskniłam za dobrą dyskusją na różne tematy, ale i za bezmyślną paplaniną nad kuflem piwa. Potrzebowałam znajomych. Nowych znajomych, bo starych jakoś drastycznie ubyło, gdy nieustannie odmawiałam wspólnych wyjść i spotkań przejęta poważną misją matki odkupicielki. Zadana sobie pokutę odbywałam z ogromną starannością i całkowitym oddaniem. Liczyły się tylko Hania i cel, który postawiliśmy sobie na początku tych zmagania. Dotarcia do mety nie obwieściłam jednak w tryumfalnym geście, zbyt niepewna osiągniętego celu. Z dużym lękiem przyglądałam się córce jeszcze przez rok, tym samym nieco markując swój lęk przed znalezieniem dla siebie miejsca i nowego celu w życiu.

Heroina walcząca miała oczywiście swoje rysy, choć starałam się je ładnie zatuszować najdroższymi kosmetykami. W chwilach zmęczenia, złości, niepewności, buntu i w niemocy przerwania tego ciężaru na kogoś innego pomagało wino, wcale nie najlepszego gatunku. Była to jedyna znana mi metoda radzenia sobie z problemami. W dodatku zupełnie bezkarna, bo dziecko się nie skarżyło, a wracającego późnym wieczorem Jarka nie dziwiły moje bóle głowy, które tłumaczyłam zmęczeniem, i nagła potrzeba udania się do łóżka. Były to jednak sporadyczne sytuacje, gdyż ten metodycznie i rutynowo ułożony dzień dawał mi dużą dozę spokoju, a nawet pewnego spełnienia.

Niezależność finansowa była także pewnym bodźcem do znalezienia pracy, bo

oznaczała posiadanie pieniędzy, z których wydatki nie będę musiała się specjalnie tłumaczyć. Pragnęłam też w końcu ubrać się inaczej niż w wygodny dres czy dżinsy. Chciałam mieć potrzebę zrobienia makijażu przed wyjściem z domu.

Niedługo wszystko się zmieni. I mimo pewnej racji w postawionym przez Jarka zarzucie poczułam się dotknięta. Pewnie, że kiedyś miałam więcej do powiedzenia. Ale to było, zanim zadecydowaliśmy – wspólnie – że zostanę w domu. Któreś z nas musiało, a kandydatury Jarka nawet wstępnie nie omawialiśmy. Trudno się rozwijać między pieluchami, rehabilitacją, pielęgnacją i czterema ścianami. Jedyne intelektualne rozmowy prowadziłam z Tadeuszem Sznukiem, podpowiadając uczestnikom programu *Jeden z dziesięciu* przez szklaną kurtynę telewizora. O czym innym niż dziecko miałam rozmawiać z mężem, jeśli mój wszechświat się do tego dziecka ograniczał? Przecież on to wie i pewnie nawet rozumie. Tym bardziej jad, który z niego wyciekł, był trujący.

Bycie rodzicem chorego dziecka to często poczucie spadania w przepaść bez żadnego zabezpieczenia. Bez dmuchanego materaca na ziemi, który mógłby uratować życie. Nie wiesz, kiedy ten lot się skończy i czy w ogóle to nastąpi. A może będziesz tak spadać bez końca? Mimo optymistycznych perspektyw nakreślanych przez lekarzy lęk pozostaje. Bo nie masz pewności, że się nie mylą. Pozostaje ci prymitywne uczepienie się brzytwy i trwanie. Trwanie mimo ciągłego zmęczenia, niekompetencji własnej i lekarzy oraz ich wyraźnej niechęci, której nie starają się ukryć, gdy widzą cię kolejny raz w drzwiach swojego gabinetu. Trwanie, na wszelki wypadek bez określania mety.

Jedyne, co mogłam zrobić, aby to wszystko emocjonalnie przetrwać, to rozprawić się ze swoimi słabościami. Jest pewna teoria, która je klasyfikuje. Nazywa je żabami. Jedne wynikają z problemów, inne z faktów. Te pierwsze można zmieniać. Można z nimi walczyć. Fakty trzeba zaakceptować. Nic nie poradzimy na fakt starzenia się, padania deszczu czy choroby dziecka. Z problemem przemoknięcia, zbyt dużej wagi czy zmęczenia możemy próbować sobie radzić. Nie musimy go akceptować. Nie mając zaś wpływu na fakty, powinniśmy je po prostu przyjąć. Walkę z wiatrakami zostawmy Don Kichotowi. Ciągłe roztrząsanie nieszczęścia, które nas dotknęło, ma wpływ na nasze samopoczucie. Choroba Hani była faktem. Już się wydarzyła. Nic nie mogłam zmienić. Miałam za to wpływ na przyszłość. Musiałam się tylko skupić na tym, co mogłam zmienić. Sytuacja sama w sobie nie jest problemem. To my decydujemy, czy stanie się ona dla nas niewygodna i problematyczna. Od naszego nastawienia zależy, czy utrudni nam życie, czy nie. Postanowiłam nie karmić swojej żaby.

Żaba Jarek rosła tymczasem odżywiana chyba powietrzem, bo klnę się na wszystko, że ja jej nie dokarmiłam.

\*\*\*

Przerwałam terapię. Drugi raz. Tym razem zaledwie po dwóch miesiącach. Nie wiem, jak o tym powiedzieć Jarkowi. Ta terapia to był jego pomysł, bo twierdził, że

DDA (żaba fakt) obciąża nasz związek.

Tylko to nie on musi tam siedzieć i wracać do wszystkiego, co było, a o czym pragnie się ze wszystkich sił zapomnieć. Zapętlam się w tym, bo nie chcę myśleć o przeszłości. To mi przeszkadza w budowaniu przyszłości. Jednocześnie inni twierdzą, że tylko spotkania z psychologiem mogą w tym pomóc. To zaś powoduje powrót do niechcianych wspomnień. Dla mnie terapia jest zbyt bolesna.

Może po części problemem jest to, że nie udało mi się ani razu dotrzeć do trzeciego jej etapu. Przebieg terapii dorosłych dzieci alkoholików, bądź po prostu dorosłych dzieci z rodzin dysfunkcyjnych, dzieli się na trzy fazy. W fazie pierwszej pacjenci dowiadują się, jak funkcjonuje rodzina z problemem alkoholowym, co się dzieje z dziećmi w niej wychowywanymi i w jaki sposób doświadczenia z dzieciństwa są przenoszone w dorosłe życie. To udało mi się zaliczyć. Naprawdę miałam dobre intencje, gdy decydowałam się na sesje terapeutyczne. Następnym etapem jest praca psychoterapeutyczna. W końcowym zaś, kiedy można już zostawić za sobą dzieciństwo, skupia się na uporządkowaniu obecnego życia. Mówiąc ogólnie, cel terapii jest taki, aby rozstać się z dzieciństwem, uwolnić od poczucia krzywdy czy winy i zmienić obraz samego siebie na odpowiedni do danego miejsca i czasu. O ile jednak w pierwszej fazie miałam okazję prześledzić, które z moich obecnych problemów wywodzą się z dzieciństwa i w jaki sposób powstały, to już w następnym przy rozliczaniu przeszłości pojawiało się zbyt wiele duchów z tamtego okresu. Nie potrafiłam tego znieść. Zbyt długo wypracowywany spokój i jako taka stabilizacja emocjonalna zaczynały się niebezpiecznie chwiać.

Dziś było naprawdę źle. Nie wiem, dlaczego dałam się sprowokować, ale przywołałam sytuację, kiedy po imieninach dziadka goście już wyszli. Pozostało tylko wujostwo mieszkające kilka budynków dalej. Właściwie to nie byli nasi krewni, ale przyjaciele domu, więc kazano nam tak się do nich zwracać. On podobno był kiedyś adoratorem Anny, a rodzice namówili ją, by za niego wyszła. Poznała jednak mojego ojca i zerwała zaręczyny. Ona była cichutką i bardzo pracowitą kobietą, całkowicie wpatrzoną w swojego męża. Typowa patriarchalna rodzina. Mieli dzieci kilka lat od nas młodsze, ale czasem się z nimi bawiliśmy. Gdy zrobiło się już późno, ciotka zabrała dzieci i poszła do domu. Wujek z dziadkiem rozpracowywali kolejne butelki cytrynowki prawie do rana. Mariusz starał się ukradkiem spijać resztki z pozostawionych szklanek. Szło mu tak dobrze, że legł w końcu na fotelu stojącym w pokoju, a dziadek niczego się nie domyślił. W nocy obudził mnie wujek rozsuwający moje nogi. Krzyknęłam, ale pijany jak świnia dziadek niczego nie słyszał. Wuj zatkał mi szybko usta i posuwając rytmicznie, przypominał uczynnie, że przecież doskonale wie, że to lubię. Opowiadali mu Marek Kotas i Rysiek Zagrobelny. Mówił, że tylko on nie miał jeszcze szansy spróbować, więc teraz nadrabia. A mnie i tak nikt nie uwierzy, bo wszyscy we wsi wiedzą, że jestem puszczalska.

Nikommu nie powiedziałam. Nawet Jarkowi. Prawdę mówiąc, to z czasem zupełnie o tym zapomniałam. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale to prawda. Dopiero ta pieprzona terapia wyciągnęła z szafy uśpione upiory...

Ledwo wysiedziałam do końca. Gdy w końcu stamtąd wyszłam, odebrałam Hanię od teściowej i niemal biegiem dotarłam do domu. Haneczka paplała jak najęta. Zdawała relację z emocjonującego pobytu u dziadków, a ja udawałam, że słucham, wtulając nos w jej pachnące szamponem włosy.

Podawana w ten sposób morfina tym razem nie zadziałała. Bolało wciąż nieznośnie, a przywołane obrazy nie dały się łatwo usunąć sprzed oczu. Zostawiłam Hanię na chwilę i pobiegłam do pobliskiego sklepiku po dwie butelki wina. Na wszelki wypadek wzięłam też wódkę. Uszczknęłam jej jeszcze po drodze, choć wykręciła mi twarz w znanym grymasie. Nie lubiłam wódki. Naprawdę nie znosiłam jej smaku. Ale teraz było mi wszystko jedno. Pragnęłam, aby przestało boleć. Możliwie szybko.

Kiedy wieczorem Jarek wrócił do domu, rzuciłam mu się na szyję już u progu. Potrzebowałam go. Tak bardzo go wtedy potrzebowałam. Zdjął moje ramiona ze swojej szyi i odsunął mnie na wyciągnięcie rąk.

– Co się dzieje? – Przyglądał mi się badawczo, zaskoczony.

– Nic – odpowiedziałam pośpiesznie – po prostu bardzo za tobą dzisiaj tęskniłam.

– Ty piłaś? – Zapytał, zbliżając swoją twarz do mojej.

– Troszeczkę. Nieistotne. Przytul mnie, proszę.

– Jak to nieistotne? To akurat jest piekielnie istotne! Gdzie Hania? – Rozglądał się ponad moim ramieniem.

– W swoim pokoju, rysuje. – Wskazałam głową na przymknięte drzwi.

Wyminął mnie bez słowa i poszedł do Hani. Stałam w przedpokoju zmieszana, przysłuchując się ich krótkiej rozmowie. Gdy wyszedł z jej pokoju, był wyraźnie przejęty.

– Czy ty piłaś, będąc z dzieckiem? – zapytał z niedowierzaniem.

– A z kim miałam być? Mamy jakąś opiekunkę?

– Nie ironizuj. Nie jesteś w tym dobra – odciął się szybko.

– To się nie czepiaj! Przecież nic się nie stało – próbowałam przywrócić mu właściwy punkt widzenia. Niepokoił mnie ten jego przesadzony ton.

– Nic się nie stało? Według ciebie naprawdę nic się nie stało? – Pokręcił głową z powątpiewaniem. – Jak mogłaś pić przy dziecku?

Popychał mnie, prowadząc do kuchni. Zamknął za nami drzwi i czekał na wyjaśnienia. Poczulałam się jak skarczone dziecko i zaczęłam tracić wcześniejszą pewność siebie.

– Miałam trudny dzień – próbowałam się wytłumaczyć. – Nie potrafię znieść tej terapii.

– To ma ci pomóc, przecież wiesz.

– Ale nie pomaga! – Podniosłam głos, jednak szybko się opamiętałam i powtórzyłam niemal szeptem: – Nie pomaga.

– Ocenisz to dopiero, gdy skończysz. Chyba trochę za wcześnie na takie wnioski?

– Zrezygnowałam z terapii...

– Cholera!

– Nie mogę, zrozum! To mnie zabija – dodałam płacząco.

– Nie to cię zabija! To ty nas zabijasz! Robisz z domu melinę, bo nie możesz przejść pieprzonej terapii i poskładać swojego życia do kupy.

– Robię z domu melinę? – Nie wierzyłam własnym uszom. – Co ty mówisz? Masz tu czyściutko, wszystko poprane, poprasowane, a żarcie podsunięte pod nos, gdy jak zwykle wracasz z pracy wykończony! – Końcówkę wypowiedziałam przez nos, przedrzeźniając jego ton i słowa, które rzucał niemal każdego dnia po powrocie.

– I co z tego, skoro pijesz przy dziecku? – Na chwilę stracił rezon.

– Nie piję, tylko się napiłam! Raz! Każdemu się zdarza, panie świętoszkowaty! I miałam naprawdę ważny powód.

– To nie był raz! Kogo próbujesz oszukać? Uważasz mnie za idiotę pozbawionego umiejętności kojarzenia faktów? Puste butelki w koszu na śmieci wzięły się znikąd? I te wieczorne bóle głowy? Myślałem jednak, że masz nad tym jakąś kontrolę, że piłś, gdy Hania już poszła spać.

– Ja...

– Nic nie mów! – przerwał mi. – Nie brnij w kolejne kłamstwa. Nawet gdybym ci wierzył, gdyby to był tylko ten jeden raz – ściszył głos i zaczął cedzić słowa, aby nadać mocy temu, co miał do powiedzenia: – nic nie usprawiedliwi picia przy dziecku!

– Jakiś ty praworządny! Myślałby kto.

– Tu nie chodzi o praworządność! Czy ty już całkiem straciłaś rozum? Zamknęłaś się w tym swoim świecie na tyle, że nie widzisz, co się wokół dzieje? Nie oglądasz wiadomości? Wystarczy, że sąsiad przyszedłby coś pożyczyć i poczuł alkohol. Przecież wiedzą, że opiekujesz się dzieckiem.

– To dziecko nie jest już takie małe i nie wymaga specjalnej opieki – próbowałam się bronić. Przyznaję, dosyć niezdarnie.

– A co to ma do rzeczy? Fakt dla policji jest taki, że dziecko jest pod opieką pijanego rodzica.

– Myślę, że przesadzasz...

– Nie przesadzam! A gdyby jej się coś stało? Żle upadła i złamała rękę? Albo się głęboko skaleczyła? Pomyślałaś o tym, co pierwsze zauważyliby w szpitalu? Z miejsca przypięliby jej łatkę dziecka niedopilnowanego z powodu alkoholu.

– Ale na szczęście nic się nie stało!

– I chwała Bogu! Ale mogło! Naprawdę brakuje ci wyobraźni. Dwa tygodnie temu



pokazywali taki przypadek w wiadomościach. Matkę wiozącą córkę na bagażniku rowerowym potracił samochód. Nie miało znaczenia, że winny był kierowca auta, bo to u niej wykryto alkohol w wydychanym powietrzu. I na nic zdały się tłumaczenia, że wypily z koleżanką tylko jedno piwo, by uczcić spotkanie po latach. Rodzina dostała kuratora sądowego.

– Dobrze, rozumiem już, rozumiem! – poddałam się. – Postąpiłam nierozważnie. Na szczęście nic się nie stało. OK? To się już nie powtórzy. – Zrezygnowana opadłam na taboret przy kuchennym stole i oparłam się plecami o zimną ścianę.

Usiadł po drugiej stronie i zwiesił głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje palce, by w końcu wydusić ledwo słyszalne:

– Jak mam ci teraz zaufać?

– Ty masz mi zaufać? – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. – Jak ty masz mi zaufać? Może tak, jak ja muszę ufać tobie, że przebywając po 12 godzin poza domem, zajmujesz się tylko pracą! Że nie pieprzysz sekretarki na swoim dyrektorskim biurczku – nakręcałam się.

– Nie obrażaj mnie! Staram się zarobić na ciebie i wszystkie kłopoty, które spadły na nas przez twoją nieodpowiedzialność!

– Ach, tak! Nareszcie to powiedziałaś. Moją nieodpowiedzialność?! A gdzie byłeś, gdy nosiłam twoje dziecko? Ze mną na tych samych imprezach. Nalewałeś mi alkohol do szklanki, abym przypadkiem nie miała pustej! Podpalałeś papierosa w ustach! Byłeś tak samo nieodpowiedzialny jak ja! A może liczyłeś, że dzięki temu stracę dziecko i problem sam się rozwiąże?

Uderzył mnie w twarz. Widziałam gniew w jego oczach, ale nie zamierzałam odpuścić.

– Zarabiasz na mnie? – wysyczałam wściekła. – A ja to co? Darmozjad, tak? Udupiłeś mnie na pięć lat. Przywiązałeś do obowiązków przy chorym dziecku, sam umywając ręce. Oczywiście – ironizowałam – zarabiałeś! Świetna wymówka, by nie pomagać przy Hani.

– Ktoś musiał zarabiać – odparował.

– Tak, ale ktoś inny musiał tym samym zrezygnować z przyjaciół, ambicji, prywatności. W ogóle ze swojego życia!

– Hania od dwóch lat nie potrzebuje już twojej opieki! Co zrobiłaś dla siebie w tym czasie?

– A co, załatwiłeś do niej jakąś opiekunkę, żeby mogła wyjść? Sam wracasz późno, wiecznie zmęczony. Przyszedłeś kiedyś wcześniej, by mnie zastąpić?

– A prosiłaś? Każdy przejaw twojej aktywności w stosunku do życia przyjąłbym z radością. A tak, po co miałem wracać wcześniej, skoro ty byłaś w domu?

– Może po to, aby pobyć trochę ze mną?

– Z tobą się nie da przebywać! – wyrzucił w końcu z siebie. – Wiecznie masz

jakieś pretensje. Haruję jak wół, a jedyne, z czym się spotykam, to zarzut, że poświęcam ci za mało uwagi.

– A robisz to choć czasem?

– A ty? Zwracasz jeszcze uwagę na samą siebie? Kiedy zdarzyło ci się rozmawiać o czymś innym niż dziecko? Kiedy byłeś u fryzjera? Zamierzałeś w ogóle szukać pracy? Gdyby nie mój ojciec, do dziś nie zrobiłabyś nic w tej kwestii.

Zabolało. Ale to nic, to tylko jeszcze jedna rana w dzisiejszej potyczce z dorosłością.

– W końcu wracam do pracy – odpuściłam. Było mi już wszystko jedno. W dodatku głowa bolała coraz bardziej. – Będziesz miał aktywną żonę. Tak jak chcesz. Nie taką kurę domową jak dotychczas.

– Problem w tym, że ty tego nie chcesz. – I on spuścił z tonu. – Najchętniej zajmowałabyś się chorym dzieckiem do końca życia. Miałabyś usprawiedliwienie dla swojego poświęcenia.

– Jak możesz! – Skuliłam się w sobie. – Kocham Hanię i cieszę się, że wraca do zdrowia!

– Może... Ale zdaje się, że zupełnie nie kochasz siebie.

Zamilkłam na dłuższą chwilę. Nie miałam siły się bronić. Zresztą co miałam odpowiedzieć na taki zarzut.

– Ta terapia miała nam pomóc. Miała pomóc tobie, ale ty nie chcesz dać sobie pomóc.

– Zrozum – niemal błagałam, aby choć przez chwilę postarał się wczuć w moją sytuację – ona naprawdę mi nie pomaga. Ona mnie niszczy...

– Ciebie wszystko niszczy! Terapia, ja, dzieciństwo... Tak naprawdę to sama siebie niszczysz najbardziej. A teraz jeszcze ten alkohol... Chcesz skończyć jak twój zasrany braciszek?

Tego było zdecydowanie za wiele.

– Nie wyskakuj mi tu z Mariuszem! Wszystko wrzucasz do jednego wora. Tak najłatwiej, co? – ryczałam wściekła. – Ojczym alkoholik, dziadek alkoholik, brat alkoholik, więc ja też muszę tak skończyć?

– Nie wrzucam. Chcę temu zapobiec. Dlatego błagałem cię, abys poszła na terapię. Ale ty postanowiłaś ją przerwać. Przecież nie potrzebujesz...

– Nie powiedziałam, że nie potrzebuję, tylko że nie dam rady.

– A, tak! Przepraszam – przerwał mi. – Nie dasz rady... Bo przecież chodzenie na terapię to jakaś niebywała filozofia! Tysiące ludzi to robią!

– To znaczy, że jestem słaba, bo ja nie dam rady!

– To znaczy tylko tyle, że w dupie masz mnie, Hanke i siebie. Nie wiesz, co to znaczy zrobić coś dla rodziny. Ale niby skąd masz to wiedzieć? Przecież ty nie masz pojęcia, jak powinna wyglądać normalna rodzina...

Rzuciłam się na niego z pięściami, ale zatoczyłam się pod wpływem zawrotów głowy. Alkohol połączony z emocjami dosłownie ściął mnie z nóg.

– Czemu ja w ogóle wdaję się w dyskusje z pijaną kobietą. Wytrzeźwiejesz, to porozmawiamy.

Chwycił mnie pod ramię i zawlókł do łóżka. Kątem oka dostrzegłam przerażoną Hanke, wciśniętą w kąt przedpokoju i tulącą misia. Rzucił mnie w ubraniu na pościel i zgasił światło. Usłyszałam chlipanie córki i jego stonowany i kojący głos, ale zupełnie nie mogłam rozróżnić wypowiedzanych słów. Głos odpływał coraz dalej i stawał się coraz mniej wyraźny.

\*\*\*

Rano zastałam go w kuchni z kubkiem kawy. Czekał przy stole, aż się obudzę.

– Zrobiłem ci kawę. – Wskazał na kubek stojący na blacie. – Dolej sobie gorącej wody, bo może nie być już najcieplejsza.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

Byłam mu naprawdę wdzięczna. Głowa mi pękała, w ustach miałam cierpki smak. Kawa powinna postawić mnie na nogi.

Wstawiłam kubek do mikrofalówki i nastawiłam na pół minuty. Usiadłam przy stole i próbowałam zebrać się w sobie, by rozpocząć rozmowę, która musiała się odbyć.

– Zadzwoń mi po mamę. Przyszła rano, gdy jeszcze spałaś, i wzięła Hanię. Pójdą do zoo, będziesz miała trochę czasu, aby doprowadzić się do porządku.

– Słuchaj, ja... – zaczęłam niepewnie.

– Poczekaj – przerwał mi. – Nic nie mów. Ja zacznę...

Jednak nie zaczynał. Cisza przeciągała się w nieskończoność. Patrzyłam na niego wyczekująco, a niepokój rósł we mnie z każdą minutą.

– Myślałem o tym wiele razy. Układałem sobie te zdania wielokrotnie, a gdy przychodzi co do czego, nie wiem, jak mam to powiedzieć... – jęknął.

– Po prostu mów. Znasz mnie. Nie jestem nikim obcym, nie musisz przede mną układać pięknych zdań.

– Nie chodzi o piękne zdania, tylko o to, żebyś nie zaczęła histeryzować.

– Ja, histeryzować? O czym chcesz mi powiedzieć? Jeśli chodzi o wczorajsze, to obiecałam ci, że to się już nie powtórzy.

– Nie o to chodzi. Wczoraj utwierdziłaś mnie tylko w przekonaniu, że ja już naprawdę nie chcę...

Chyba zaczynałam się domyślać, co zamierza powiedzieć, jednak starałam się nie dopuścić tej myśli do świadomości.

– Czego nie chcesz? Wyduś to w końcu!

– Nie chcę, nie mogę być już z tobą... – powiedział na jednym wydechu.

– Bo raz się upiłam przy dziecku? – Nic nie rozumiałam.

– Bo to kolejny raz, gdy pokazałaś, czego mogę się po tobie spodziewać. Bo znowu

przerwałaś terapię. Bo nie chcesz pracować nad sobą, bo... Zresztą mógłbym tak długo, ale przecież nie chodzi o to, aby się obrzucać błotem.

– Nie? To o co chodzi, oświeć mnie, bo ja nic z tego nie rozumiem?! – Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Nie takiego życia chciałem...

– A ja takiego chciałam?!

– Uspokój się. Nie unos. Przeprowadźmy tę rozmowę jak cywilizowani ludzie.

– Dobrze, zatem proszę, powiedz, jakiego życia chciałeś?

– Innego. To była wpadka. Błędem było, że związaliśmy się z tego powodu. Ale ty też wtedy byłaś inna. Śmiałaś się często. Miałaś ambicje. Byłaś najlepszą studentką na roku. Czytałaś... Myślałem, że wszystko się jakoś ułoży. Ale już nie jesteś tą osobą, którą pokochałem. Stałaś się sfrustrowana, zgorzkniała, wiecznie niezadowolona.

– A jaka mam być, siedząc ciągle w domu?

– To nie siedź w domu! Dwa lata czekałem na jakiś ruch z twojej strony. Na to, że z radością rzucisz się w wir życia, w działanie. Myślałem, że poczujesz w końcu wolność i będziesz chciała nadrobić czas. Że się odbijesz.

– To czemu o tym ze mną nie porozmawiałeś?

– Nie chciałem naciskać. Pomyślałem, że poświęciłaś wiele, ale teraz powoli będziesz wracać do żywych. Hania rozwija się wspaniale, jest świetnym dzieciakiem. Miałaś dużo czasu, żeby pomyśleć o sobie. Nie zrobiłaś nic. Przykucnęłaś pod miotłą w nadziei, że nikt cię tam nie zauważy i stamtąd nie ruszy. To moi rodzice zrobili w końcu gest, żeby ci pomóc. Ojciec załatwił ci pracę. Sama nawet jej nie szukałaś.

– A jaką ja pracę mogę zdobyć bez żadnego doświadczenia?

– Nie wiem. Dowiedzielibyśmy się, gdybyś w ogóle zaczęła jej szukać...

Nastąpiło długie milczenie. Próbowałam uporządkować myśli. Zrozumieć, co właściwie słyszę. Wydawało mi się, że rozmawiamy o kimś innym. O kimś, kogo nawet nie znam. Przecież ta przegrana laska, o której mówił, to nie mogłam być ja.

– Wiesz, co myślę? – odezwałam się w końcu. – Myślę, że tu chodzi o coś zupełnie innego. Myślę, że ty się mnie po prostu wstydzisz. Wielki pan dyrektor nie może się przecież pokazać z takim „nikim”.

– Nie ubliżaj mi!

– Nie ubliżać tobie? Od pół godziny nie robisz nic innego, tylko ubliżasz mnie. Przecież twoja teoria kupy się nie trzyma! Wracam do pracy! W końcu wracam do pracy! I właśnie w tym momencie ty postanawiasz mnie zostawić?

– Czekałem długo. Dłużej już nie chcę... Tym bardziej że ty wciąż udowadniasz, że nie mogę być pewien efektu. Wczoraj po raz kolejny pokazałaś, że nie chcesz nad sobą pracować. Szkoda mi czasu, jestem młody. Mogę kogoś poznać, mogę się bawić, a nie umierać przy tobie...

– No tak! Po co masz czekać, tracić kolejne lata, skoro w zasięgu ręki tyle

panienek, z poukładanymi karierami i sprecyzowanymi celami wybicia się na panu dyrektorze!

– Przynajmniej mają cele, do cholery! A jaki ty masz cel, oprócz niszczenia nam wszystkim życia?

– Nie wiedziałam, że „niszczę nam życie”.

– A co innego robisz? Gnuśniejemy razem. Starzejemy się w zastraszającym tempie. Zrozum! Jesteśmy młodzi! Mam jeszcze tyle planów, marzeń, celów... Straciłem już dużo czasu. Więcej nie chcę...

Zamilkł i spuścił głowę. Patrzyłam na niego oniemiała. Czy to, co powiedział, mogło być prawdą? Niszczę go? To by znaczyło, że naprawdę jestem osobą dysfunkcyjną. Jak to się stało, że w ogóle tego nie dostrzegałam. Że nie wyczułam zmian, nadchodzącego niebezpieczeństwa. Czy to możliwe, że w ogóle go nie znałam? A może zupełnie nie znam siebie? Znowu nikt nie chce ze mną żyć z własnej woli. Cięży nade mną jakieś przekleństwo. Ludzie uciekają, jakbym była zarazona dżumą. Przecież to nieprawda. Przecież to nie moja wina...

To, do cholery, nie moja wina! Gniew walczył we mnie ze wstydem i rosnącą paniką. Nie chcę o sobie myśleć jak o kimś tak złym, że nawet ojciec, matka czy mąż nie mogli ze mną wytrzymać. Nie chcę zostać sama. Nie mogę znowu być tak przeraźliwie sama. Nie chcę do końca życia myśleć, że nie zrobiłam wszystkiego, aby do tego nie dopuścić. Tyle już straciłam przez swoją dumę. Przez to, że kilka razy w życiu nie umiałam przeprosić, zamknąć się czy nawet błagać. Panika stawała się coraz silniejsza. Przyćmiła inne emocje. W końcu się jej poddałam.

– Nie odchodź! – Rzuciłam się do jego nóg. – Zmienię się! Obiecuję, że będę nad sobą pracować.

– Nie rób scen. Wstań. – Próbował mnie podnieść z klęczek.

– Obiecuję, słyszysz? – Przywarłam do niego jeszcze mocniej.

– Właśnie dlatego bałem się tej rozmowy. Ty nie umiesz się zachowywać jak dorosła.

– Umiem! Będę się tak zachowywać. Obiecuję – skamlałam, ciągle klęcząc, ale uwolniłam jego nogi z żelaznego uścisku.

– Właśnie widzę. – Odsunął się ode mnie na bezpieczną odległość.

– Zobaczysz. Udowodnię ci. Wszystko ci udowodnię. Co tylko będziesz chciał.

– Wstań, proszę. Nie upokarzaj się, bo sobie tego potem nie wybaczysz.

– Dla ciebie mogę się upokarzać. Dla ciebie mogę wszystko, tylko proszę, zostań...

– Nie mogę.

– Dlaczego nie możesz? Przecież nie jestem jakimś potworem! Nie jestem złą osobą.

– Dobrze, nie chcę. Nie chcę, OK?

– A co z Hanią? Jak my jej to powiemy, jak my sobie same poradzimy?

– Nie będziecie same. Podzielimy się opieką. Będę płacił też alimenty, nie uchylam się od odpowiedzialności. Kocham Hanię i najchętniej zabrałbym ją ze sobą, ale wiem, że dziecko potrzebuje matki. Zresztą polskie sądy są w tej kwestii wyjątkowo stronnicze.

– Podzielimy się? Będiesz weekendowym tatą? Myślisz, że ona na tym nie ucierpi? – Uchwyciłam się tej myśli jak koła ratunkowego.

– Jeśli przeprowadzimy to mądrze, bez zbędnej egzaltacji, nienawiści, szkalowania siebie, to może uda się nie zranić jej tak bardzo.

– Nie zranić!? Nie wierzę w to, co słyszę! To nasze dziecko. Chcesz je skrzywdzić, bo myślisz tylko o sobie! – Przeszłam do ataku, bo upokorzenie było zbyt trudne do zniesienia. Gniew znowu zaczął brać górę.

– Nie chcę jej skrzywdzić. Skrzywdziłbym ją bardziej, gdybym został z tobą, bo patrzyłaby na rodziców, którzy się nie kochają.

– Ach, więc mnie nie kochasz? – Starłam się ze wszystkich sił, aby w moim tonie usłyszał drwinę. Choć na chwilę zamaskowałyby wstyd.

Zamyślił się na moment, nim zadał ostateczny cios:

– Nie. Nie kocham cię.

– Wynoś się! – zawylałam. – Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się z naszego życia! Nie chcę cię więcej widzieć. Wynoś się! – Miotalam się jak oszalała i rzucałam w niego, czym popadło.

Wyszedł do pokoju i wyciągnął z szafy torbę. Pobiełam za nim.

– Myślisz, że mi zależy na twojej miłości? – Wściekłość niemal odbierała mi przytomność. – Że jesteś kimś ważnym? Jesteś nikim! Udowodniłeś właśnie, kim jesteś! Zadufanym w sobie egoistą! Skrzywdzisz córkę, bo twój tyłek jest najważniejszy!

– Nie chcę skrzywdzić Hani – przerwał na chwilę pakowanie. – Ale stanie się tak, jeśli się nie uspokoisz. Jeśli będziesz obrzucać mnie błotem. Pomyśl, co robisz. Choć raz w życiu, do cholery, zachowaj się jak dorosła!

– Wynoś się! – Mój głos przypominał bardziej skowyt. Osunęłam się po ścianie i siedząc w kucki, szlochałam. – Wynoś się stąd i nie rań mnie więcej!

– Wyjdę. Uspokój się! Przestań się zachowywać jak nienormalna. Co chcesz mi pokazać?

– Nic! Już nic nie chcę ci pokazywać.

Dopała mnie rezygnacja. Myśli kołatały się w głowie z prędkością światła. Nadmiar skrajnych emocji sprawiał, iż miałam wrażenie, że za moment rozsądzi mi głowę. Marzyłam jedynie, aby Jarek wyszedł. Aby zniknął i nie widział mojego upadku. Aby nie miał już szansy zadać kolejnych ciosów.

– To się uspokój. Jak mam pozwolić tu przyjść Hani, kiedy jesteś w takim stanie?!

– Nie rozkazuj mi! Nie masz już do tego żadnych praw!

– Dobrze, poproszę matkę, żeby się dziś zajęła małą. A ty się doprowadź do porządku. Myśl o tym, co sama mi przed chwilą mówiłaś, że nie możemy skrzywdzić dziecka. Ona nie odpowiada za nasze błędy.

Zawylałam jeszcze donośniej. Nie chciałam, żeby to on dyktował warunki. Nie chciałam, żeby teściowa opiekowała się Hanią. Nie zdołałabym teraz jednak odpowiedzialnie się nią zająć. Znowu ten nieznośny ból rozrywał mi trzewia. Nie chciałam też przecież zostać sama...

Podbiegłabym do niego, przytuliła się z całej siły, żeby to poczuł, żeby uwierzył, że może być ze mną szczęśliwy. Wyśmiałabym to wszystko i powiedziała, że już nieważne, już nie pamiętam... Pokaleczona duma przykuła mnie jednak do miejsca. Przez łzy patrzyłam, jak się pakuje, jak zasuwa zamek i wychodzi do przedpokoju. Słyszałam, jak zakłada buty i sięga po torbę. Do diabła z dumą – podpowiadał panicznie nerwowy głos w głowie – nigdy cię dobrze nie prowadziła. Najważniejsze, abyś nie pozwoliła mu odejść!

– Zaczniemy jeszcze raz. – Dopadłam do niego i przywarłam całym ciałem. – Dajmy sobie szansę! Jeśli nie ze względu na mnie, to chociaż na Hanię! Błagam! Jesteśmy jej to winni. Nie można zamknąć rozdziału życia tak nagle!

– Wcale tego nie zamierzałem. Chciałem załatwić wszystko na spokojnie, po kolei. Ale kazałaś mi się wynosić...

– Przepraszam. Przepraszam, wybacz mi!

– Nie przepraszaj. Proszę, nie poniżaj się więcej. – Położył ręce na moich ramionach. – Teraz widzę, że inaczej nie można. Jeśli zostanę, ty będziesz się miotać, histeryzować.

– Nie będę, naprawdę! – przerwała mu. Powiedziałabym teraz wszystko, czego by tylko zażądał. Co wpłynęłoby na zmianę jego decyzji. – Zostań.

– Posłuchaj! – Starał się zapanować nad moją histerią – Proszę, posłuchaj mnie przez chwilę. Zrobimy tak: ja na razie zamieszkam u rodziców. Ty postaraj się doprowadzić do porządku. Wszystko to dzieje się zbyt nagle. Za szybko. Trudno myśleć w tej sytuacji rozsądnie – mówił wolno, wyraźnie artykułując każde słowo. Przeciągał zdania celowo, aby dać im czas na przebicie się do mojej nieprzytomnej jaźni. – Przemyslimy wszystko na spokojnie. Odpocznijemy chwilę od siebie i za jakiś czas postaramy się podejść do rozmowy ponownie. Spróbujemy znaleźć jakieś rozsądne wyjście z tej sytuacji, dobre przede wszystkim dla Hani, dobrze?

– Dobrze, ale nie musisz mieszkać u rodziców. Nie będę męcząca. Postaram się nie wchodzić ci w drogę. – Jego rozsądnie brzmiąca argumentacja i rzeczowy ton trochę mnie uspokoiły.

– Tak będzie lepiej, zrozumiem. Nie będziesz musiała się starać. Po prostu odpoczniesz chwilę ode mnie, przemyślisz wszystko. Jeśli chcesz, mogę w tym czasie zajmować się Hanią.

– Nie! – rzuciłam szybko. – Nie potrzeba. Wolałabym, żeby była ze mną. Będę spokojniejsza.

– Dobrze. – Nie wydawał się przekonany – Jak chcesz. Ale postaraj się nie przelewać na dziecko swojego żalu.

– Nie będę – zapewniłam go gorliwie. – Przecież jeszcze nic nie jest postanowione, prawda? – upewniłam się nieśmiało.

– Tak. Jeszcze nic nie jest postanowione. Trzymaj się zatem. – Otworzył drzwi na korytarz. – Postaraj się dać sobie szansę – rzucił jeszcze, zanim wszedł do windy.

\*\*\*

Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z drzemki. A może to wcale nie był sen, tylko jakiś dziwny stan odrętwienia? Gdy odezwał się ponownie, do mojej świadomości przedarł się impuls, że może Jarek wrócił. Zerwałam się tak szybko, że aż się zatoczyłam. Z bijącym sercem pobiegłam do drzwi. Po drugiej stronie stała Anna.

– To ty? Co tu robisz? – Nie wiem, czy byłam bardziej przerażona, czy rozczarowana.

– Jarek dzwonił...

– Jak to? – Nie rozumiałam. – Po co do ciebie dzwonił?

– Mogę najpierw wejść? – Wsadziła nogę w drzwi i wyminęła mnie bez słowa. Zdjęła buty, odłożyła torebkę, po czym poszła do kuchni nastawić wodę w czajniku. Wsypała herbatę do szklanki. Dopiero wtedy wróciła do rozmowy. – Powiedział, że jesteś w kiepskiej formie i mnie potrzebujesz. Co znowu narozrabiałaś?

– Nic. Nie wiem, po co do ciebie dzwonił. – Byłam skołowana.

– No dobrze, zalej herbatę.

Poczekaj cierpliwie, aż liście odpowiednio naciągną, potem dolała mleka.

– Ciągłe pijasz bawarkę? – Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Po co zmieniać dobre przyzwyczajenia?

– Masz rację. Po prostu się zdziwiłam.

– Nie dziwiłabyś się, gdybyś czasem mnie odwiedzała...

– Gdzie? U NIEGO? Przepędziliście mnie stamtąd.

– Nie zaczynaj! Nie przyjechałam się kłócić.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko uderzenie łyżeczki o ściankę szklanki, bo zdenerwowana Anna kręciła nią w kółko od jakiegoś czasu.

– Co u Janka? – Spytałam w końcu, by przerwać niezręczną ciszę. – Jak mu idzie na studiach?

– Całkiem nieźle. WAT jest dla niego idealną uczelnią. Chyba podświadomie potrzebował takiej dyscypliny i zorganizowania.

– No tak... – powiedziałam niepewnie.

Nie umiałam sobie wyobrazić najmłodszego brata w kamaszach. Gdy o nim myślę, zawsze mam przed oczami obraz rozpieszczonego dzieciaka. Nie umiem pozbyć się



tego uczucia niechęci, choć niczym sobie na to nie zapracował. Tej ciągle nieugaszonej złości, że jego zatrzymała przy sobie, a mnie nie.

– Mariuszowi też by się przydała taka musztra – kontynuowała zamyślona. – Może pomogłaby mu jakoś uporządkować sobie życie.

– Mariusz na studiach? A to dobre.

– Co cię tak śmieszy? – Oburzyła się. – To jest naprawdę zdolny chłopak. Gdyby tylko mu się chciało.

– I gdyby nie chlał. – Nie udało mi się ukryć sarkazmu.

– Nie oceniaj. Kiedy ostatnio go widziałas? Utrzymujesz z nim w ogóle jakiś kontakt? Czy tak jak ze mną: na ślubach, chrzcinach i pogrzebach?

– Ostatnio go widziałam... – No właśnie, kiedy? Próbowałam odgrzebać w pamięci jakąś datę. – Ha! Nie tak dawno. Ze dwa miesiące temu! Miał coś do załatwienia w Warszawie i nocował u nas – zawołałam z triumfem w głosie.

– No i?

– No i co? – Nie wiedziałam, co chce usłyszeć. – Kupił jakieś wino i zabawkę dla Hani. Pogadaliśmy trochę, a rano wyjechał.

– To rzeczywiście masz z nim kontakt – podsumowała ironicznie.

Czy przed chwilą nie strofowała mnie, abym nie oceniała? Hipokrytka. Sama to robi nieustannie, nawet nieświadomie.

– Chętnie posłucham, jaki ty masz z nim kontakt. Opowiedz mi trochę o nas. Jestem szalenie ciekawa... – Nie mogłam się powstrzymać od uszczypliwości.

Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Widziałam, że próba opanowania się sporo ją kosztuje, ale nie zamierzałam jej pomagać. To niewiarygodne, że była moją matką. Czy matki się nie kocha? Nie darzy tkliwością, zrozumieniem? Czytałam kiedyś wywiad z ordynatorem szpitala onkologicznego, który mówił, że wielokrotnie był świadkiem, gdy dorośli ludzie, także starzy, w przedśmiertnej agonii, przy całkowitej utracie świadomości wzywali swoje matki. Nie dzieci, żony, mężów. Tylko matki... Podobno nie ma silniejszej więzi łączącej ludzi. Wychodzi się z łona, by do niego powrócić. W nim zasnąć na wieki.

A ja, patrząc na nią, nie czułam zupełnie nic...

– Przyjechałam tutaj, tłukąc się w zatłoczonym pociągu, bo podobno mnie potrzebujesz. – Próbowała tym wyrzutem skierować rozmowę na inne tory.

– To nie ja po ciebie dzwoniłam.

Popatrzyła na mnie uważnie, jakby chciała coś zrozumieć. W końcu się poddała.

– Pora na mnie – rzuciła.

Wstała niezdarnie z krzesła i zaczęła zbierać rzeczy. Dopiero teraz zobaczyłam, jak bardzo się postarzała. Brakowało jej dawnej sprężystości i energii w ruchach, na nogach miała żyłki, a na dłoniach – brązowe plamy. Tylko zęby pozostały tak samo zaciśnięte jak kiedyś.

– Zostań. – Podeszłam do niej i wyjęłam jej z rąk torebkę. – Przepraszam.

Wróciła na kuchenne krzesło. Co takiego jest w tym pomieszczeniu? Mam w mieszkaniu dwa pokoje, a w nich wygodne fotele i kanapę, lecz ona pasuje wyłącznie do kuchni. Do tego twardego kuchennego stołka. Do tego rogu. Jakby była nierozzerwalną częścią tego miejsca. Ona też to mimowolnie wyczuwa, bo nigdy nie chce przejść gdzieś indziej.

Dolałam jej wrzątku do herbaty i wyciągnęłam chleb z szafki.

– Zrobię ci kolację – bardziej oznajmiłam, niż spytałam. – Zostajesz na noc, jak rozumiem. Już po dwudziestej.

– Tak. Nie mam teraz powrotnego pociągu. Dopiero jutro... – Mimowolnie przyznała się, że nie miałyby dokąd pójść, gdybym jej nie zatrzymała.

Znam ją jednak na tyle, że wiem, iż prędzej przespałaby się w poczekalni dworca, niż została u mnie niechciana. To, że była tu teraz, że zwyciężyłam z jej dumą, odrobinę mnie zaskoczyło.

– Zadzwoń do Jarka, żeby nie odstawiał Hani dzisiaj, tylko jutro rano. Będziemy mogli pobyć trochę razem. Poczekaj.

Podbiegłam szybko do telefonu. Wiedziałam, że chciałyby się przy okazji zobaczyć z wnuczką, tym bardziej, że tak rzadko ją widuje, ale wtedy nie mogłybyśmy spokojnie porozmawiać. Co prawda, nie byłam pewna, czy jestem gotowa na tę rozmowę, ale wiedziałam, że jeśli do niej dojdzie, Hania nie powinna tego słyszeć.

– Halo? – po dwóch sygnałach zgłosił się Jarek.

– Przeprowadź Hanię jutro rano – rzuciłam pospiesznie, ominąwszy formuły grzecznościowe. – Niech zostanie u ciebie na noc. – Na chwilę zawiesiłam głos. – Anna przyjechała... Ale to pewnie wiesz.

– Dobrze. Cześć. – Odłożył słuchawkę.

I tyle. Nie próbował się tłumaczyć, nie czuł się skrępowany, że zrobił coś za moimi plecami. Nic. Lekko poirytowana wróciłam do kuchni.

– Czemu ciągle mówisz o mnie Anna? – spytała.

Nie było w tym wyrzutu. Raczej pewna rezygnacja.

– A jak mam mówić? – Udawałam, że nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Nie wiem, może mama? – rzuciła z przekąsem.

– Moja matka umarła dawno temu. Pewnego listopadowego wieczoru...

– Przestań! – Niemal poderwała się z krzesła. – Jesteś okrutna! Zamierzasz mnie karać do końca życia?

– Nie karzę cię... – prychnęłam. – Zresztą sama nie wiem...

– Ciekawe, że z taką łatwością przychodzi ci rozliczanie innych – przeszła do ataku. – A jakie masz do tego prawo? Co wiesz o wyborach, jakich musiałam dokonać? O decyzjach, które kosztowały mnie więcej niż własne życie? Pytam, kto dał ci prawo mnie oceniać? – Znów była władcza i autorytarna. Muszę przyznać, że trochę się jej

bałam. Chyba już na zawsze miał we mnie pozostać ten dziwny, irracjonalny lęk przed nią. Znów byłam małą dziewczynką karconą za przewinienie. Milczałam zawstydzona, więc kontynuowała: – Czemu w takim razie tu jestem? Bo mi nie zależy? Czemu wychodzę z pracy prosto do pociągu po telefonie twojego męża? No proszę, odpowiedz? – Zrobiła pauzę na wzięcie oddechu. A może rzeczywiście oczekiwała, że jej odpowiem. – Milczysz? Jak to? A przecież tak łatwo przychodzi ci osądzanie... – Pokręciła głową, uporczywie się we mnie wpatrując. – Czemu tu jestem, skoro ty nie masz sobie nic do zarzucenia? Czemu mąż się od ciebie wyprowadza?

– Nie wyprowadza się, tylko na chwilę zamieszkał u rodziców – zaprzeczyłam, choć nie miało to najmniejszego sensu. Przecież to on z nią rozmawiał i Bóg raczy wiedzieć, co jej naopowiadał. – Musimy od siebie odpocząć. Wszystkie małżeństwa przeżywają kryzysy. To nic takiego.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, ale nic nie powiedziała. Byłam jej za to wdzięczna.

– Co zamierzasz? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Nie wiem. – Spuściłam głowę. – Nie pozostaje mi nic innego, niż czekać na jego ruch.

– Nie jestem pewna, czy to dobry sposób na sprowadzenie męża z powrotem. – Zmyśliła się na chwilę. – Może idź do fryzjera.

– To banalne! Myślisz, że zrobienie fryzury i makijażu odmieni mnie w jakiś czarodziejski sposób? Jarek spojrzy na mnie i nagle zrozumie, że popełnił błąd? Przecież to głupie.

– Słabo sobie radzisz z sarkazmem! Zaczynj od podstaw, ale na nich nie poprzestawaj. Zadbaj o siebie.

– Taaak, już to słyszałam. On cię na mnie napuścił?

– Nie – zawstydziła się nagle. – Powiedział mi tylko, żebym pomogła swojej córce, bo niszczy sobie życie.

– Nie ja je sobie niszczę, on to robi! – niemal wrzasnęłam.

Poczułam nagły gniew. A to wstrętny dupek.

– On ci je niszczy teraz, ja ci je niszczyłam kiedyś – powiedziała to z niekłamany smutkiem. – Zauważyłaś, że to wszyscy wokół są odpowiedzialni za twoje życie?

– Nie wszyscy, tylko wy! – Prawie natychmiast poczułam, że zabrzmiało to, jakbym miała trzy lata i tupała nogą.

– Jesteś dorosła! Czy tego chcesz, czy nie. Przejmij w końcu odpowiedzialność za swoje życie.

Nie chciałam tego słuchać, ale nie miałam sił, by wyjść i zostawić ją samą. Tysiące myśli kołatało mi się w głowie. Niepozbitanych, nieczytelnych. Czy ja naprawdę się tak pogubiłam, że nie widzę tego, co dostrzegają wszyscy wokół? Czy mam fałszywy obraz samej siebie?

Trwałam tak bez ruchu. Przerazona. Z twarzą ukrytą w dłoniach. Zamieniałam się powoli w sopel lodu. Chciałam do niej podejść. Uklęknąć i położyć głowę na jej kolanach. Chciałam chwycić jej pomarszczone dłonie w swoje ręce i wypłakać cały ten ból. Chciałam, żeby swoim ciepłem rozpuściła zmarzlinę, której klucie całkiem realnie czułam w klatce piersiowej. By pomogła mi żyć. Czy nie po to są matki?

Tymczasem trwałam w miejscu zbyt przerażona samym pomysłem, by odsłonić się przed tą, która rani tak celnie. Czyżby to znaczyło, że wciąż ją kochałam? Podobno zranic potrafią nas tylko ci, których kochamy zbyt mocno.

A jednak tu była. Wsiadła po pracy do tego cholernego pociągu i mimo zmęczenia przyjechała. Nie mogła mieć nawet pewności, że mnie zastanie.

Była tu.

Tylko dla mnie.

Coraz drobniejsza, coraz mniej straszna. Choć ciągle wyniosła.

Poczułam jakąś tkliwość. Pożałowałam, że nie ma z nami Mariusza. To mogłoby być piękne. We troje. Razem. Po tylu latach.

Mariusz. Mój brat. Taki delikatny, wrażliwy, małomówny. „Słodziutki”, mówili wszyscy. Mówili, kiedyś... Dziś każdy, myśląc o nim, używa zwrotu: „ten pijaczyna, co mieszka z dziadkiem”. „Szkoda chłopaka” – dodają jeszcze. „Ma taki fach w rękach! Silniki z nim rozmawiają. Po dźwięku poznaje, co trzeba naprawić. I taki talent niszczy przez wódę”. – Kiwają przy tym głowami w zadumie.

Mój mały braciszek. Pokaleczony. Obolały.

Może gdybyśmy tu siedli razem, we troje... Może gdyby matka pogłaskała go po głowie jak kiedyś i złożyła pocałunek na czole. Może ten gest oczyściłby jego czarny umysł. Może wszystko dałoby się jeszcze naprawić? Wykupić nasze dusze od diabła i zacząć od nowa. Choćby na kredyt...

– Zrób wszystko, żeby do ciebie wrócił. – Głos matki wyrwał mnie z zadumy. – Trudno jest kobiecie samej z dzieckiem. Wiem coś o tym.

Zadrżałam. Już to kiedyś słyszałam. Mogła tego nie mówić, a posłuchałabym jej bez mrugnięcia okiem. Pozwoliłabym w końcu komuś się poprowadzić.

Ale, nie! Musiała to dodać.

I na powrót stała się kimś obcym...

\*\*\*

Jednak czekałam.

Codziennie.

Budziłam się z nadzieją, że może dziś... Że wróci. I zasypiałam druzgocąco rozczarowana.

Rozmawialiśmy wyłącznie o kwestiach dotyczących Hani. Nie poruszałam innych tematów, czekając, aż sam będzie na nie gotowy. Nie chciałam tym razem popełnić żadnego błędu.

Rozpaczliwie szukałam jakiejś ambitniejszej pracy. Marzyłam, aby mu udowodnić, że stać mnie na więcej. Niestety, nie rozbłysłam w świetle jupiterów. Świat nie czekał na mnie z otwartymi ramionami, ale nie był też przede mną hermetycznie zamknięty, jak mi się dotąd zdawało. Dostałam propozycję stażu w wydawnictwie jako korektor. Mało płatne zajęcie, ale pociągało mnie bardziej niż praca w hurtowni. Zresztą nie brałam na poważnie myśli, która zaczęła niepewnie kiełkować, że zostanę odcięta od dochodów Jarka.

Hania drugi miesiąc wakacji miała spędzić najpierw z ojcem, a później z jego rodzicami. Zbiegło się to niemal idealnie z rozpoczęciem stażu. Od września szła do szkoły. Wszystko powoli się układało. Czekałam tylko na wielki powrót męża marnotrawnego, który miał nagle zrozumieć, jak źle mnie ocenił.

Tymczasem najtrudniejsze były samotne wieczory. Niemal boleśnie odczuwałam brak Hani płaczącej się po mieszkaniu. Łapałam się na tym, że wołam ją do przyrządzonej kolacji. Myślałam, aby gdzieś wyjść, odnowić znajomości z zapomnianymi przyjaciółmi, ale lęk, że w tym czasie Jarek przyjdzie i będzie chciał porozmawiać, skutecznie mnie blokował. Musiałam czekać na męża.

Nie myślałam o tym, czy go kocham. Byliśmy razem, mieliśmy dziecko, inna rzeczywistość w ogóle nie przychodziła mi do głowy.

Dwa miesiące od wyprowadzki Jarka przyszły papiery rozwodowe.

Nie mogłam w to uwierzyć. Wpatrywałam się w literki, nic nie rozumiejąc. Ja naprawdę myślałam, że to po prostu kryzys. Że któregoś dnia mąż wróci do domu. Nie naciskałam go, chciałam mu dać czas na przemyślenie wszystkiego. Na zatęsknienie... Byłam pewna, że w końcu mu mnie zabraknie. Przecież nasiąka się drugim człowiekiem. Wspólnymi rytuałami, nawykami. Przecież tęsknota towarzyszyła mi od najmłodszych lat, znam ją od podszewki, jej wszystkie mechanizmy. Nie jest ukierunkowana na postać, lecz na drobiazgi, które wiążą się z tą osobą. Tęsknimy za wspomnieniami i przyzwyczajeniami.

Jak to możliwe, że mu ich nie brakuje? Po tylu latach razem...

Poszłam do łazienki, by ochłodzić pałającą twarz. W kubeczku leżała jeszcze jego szczoteczka do zębów. Dotknęłam włosów delikatnie, aby nie strącić bodaj okruszka. Podniosłam do nosa i powąchałam. Nic nie poczułam. Zmoczyłam ją kroplą wody i wsadziłam sobie do ust. Szorowałam zęby 10 minut, połykając łzy. Czoło oparte o lustro studziło emocje, a oscylacyjne ruchy szczoteczki ścierały mur złudzeń, jakimi się mamiłam przez ostatnie tygodnie.

Jak sparaliżowana wykręciłam numer.

– Jak mogłeś? – Nie poczekałam nawet na „halo” po drugiej stronie.

– Dostałaś papiery, jak rozumiem?

– Dobrze rozumiesz. Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– Nie wiem. Miałem do ciebie dzwonić, gdy Hania wyjedzie z rodzicami nad

morze, ale nie mogłem się zebrać. Nie myślałem, że tak szybko je do ciebie dostarczą.

– No widzisz, jaka skucha – ironizowałam, ale wewnątrz cała się trzęsłam.

– Skoro już wiesz, to chyba niewiele zostało do dodania – zawiesił głos.

– Czemu to zrobiłeś?

– Daj spokój!

– Nie! Powiedz, czemu to zrobiłeś! Przecież mieliśmy się zastanowić, porozmawiać, wymyślić jakieś wyjście.

– Nie myślałem o tym poważnie. Chciałem, żebyś miała czas na oswojenie się z tą myślą. Bez hysterii.

– Nie myślałeś o tym poważnie? – Nie mogłam uwierzyć. – Nie mogłeś ze mną o tym porozmawiać, zamiast robić ze mnie kompletną idiotkę?

– Porozmawiać? – Wyraźnie słyszałam zniecierpliwienie w jego głosie. – Czy wysłuchiwać jęków i błagań, żebym został? Z tobą się nie da rozmawiać. Ty musisz urządzić spektakl. A ja się nie chcę w to bawić. Spotkamy się na sali sądowej i na spokojnie, przy świadkach ustalimy, co dalej. Co z Hanią, co z mieszkaniem...

– A co może być z Hanią? Ja ci jej nie oddam! Zapomnij!

– Wcale nie zamierzam ci jej odbierać. Ale musimy ustalić terminy mojej opieki nad nią. Co do mieszkania też nie będę się upierał. Możesz w nim zostać z Hanką, ale będziesz musiała zacząć mnie spłacać. Nie wiem, może w ratach? Przemyśl to. Oczywiście, jak już ułoży się wszystko z twoją pracą – dodał pospiesznie.

– Ale ja nie dam rady cię spłacać. Ledwo mi wystarczy na czynsz i na jedzenie. Zresztą o czym my mówimy?! Co mnie obchodzi mieszkanie, skoro mąż chce mnie opuścić! – Nie umiałam powstrzymać drżenia głosu.

– Nie zaczynaj. Weź się w garść. To są sprawy, o których musisz pomyśleć, żebyśmy mogli coś ustalić.

– Czemu ode mnie odchodzisz? – przerwałam mu.

– Przestań!

– Czemu? – Nie dawałam za wygraną.

– Bo cię nie kocham...

– Czemu mnie nie kochasz?

Chciałam to usłyszeć. Chciałam wiedzieć.

– Nie wiem...

– Nie kłam. Musisz wiedzieć, dlaczego nie kochasz już kobiety, którą kiedyś kochałeś. Nie można tego nie wiedzieć... Dlaczego mnie nie kochasz? Co ze mną jest nie tak? Dlaczego nie można mnie kochać?

– Nie dramatyzuj. Ludzie się zakochują i odkochują. To nic nadzwyczajnego. Tak po prostu jest.

– Tak po prostu? Można jednego dnia kogoś kochać, a drugiego nie?

– To się nie stało w ciągu dnia. Pracowałam na to latami.

– Latami, które poświęciłam tobie i Hani... Tak sobie zapracowałam. Urobiłam się po łokcie.

– Ta rozmowa zmierza w złym kierunku. Skupmy się na tym, co jest teraz ważne.

– Bo to nie było ważne? To był jakiś siedmioletni żart? Patrz, jakoś mnie nie ubawił.

– Było ważne. Ale już się skończyło. Teraz idźmy dalej.

– Nie mogę. Nie rozumiem, dlaczego wszystko już stracone, dlaczego nie możemy spróbować jeszcze raz.

– To nie ma sensu...

– To ma sens! Mamy dziecko! Dlaczego nie spróbujemy terapii? Wspólnie. Może to nam pomoże.

– Terapii, mówisz? – Zaśmiał się złośliwie. – Ty chcesz terapii?

– Tak! Jeśli to miałyby nam pomóc...

– Daj już spokój. Podjąłem decyzję. Znasz mnie. Gdy już robię krok do przodu, to się nie oglądam.

– Nawet dla dziecka? Podobno kochasz Hanię.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jej to wynagrodzić. Uważam, że ta rozmowa trwa już za długo i do niczego nie prowadzi. Przemyśl wszystko na spokojnie. Cześć.

Rozłączył się, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Miałam już dość umierania! Tych pozornych śmierci, które nie odcinają oddechu, bolesnych uderzeń serca, udrepczonej świadomości...

Pragnęłam tej jedynej, kojącej, prawdziwej.

Czasem mam wrażenie, że marzyłam o niej od zawsze. Powinna nadejść wielokrotnie. Po każdym nożu wbitym głęboko w serce. Po każdym dźgnięciu. Powinna nadejść już wtedy na sali porodowej.

# Śmierć piąta

**rok 2003**

**T**ej śmierci nie wyczułam. Nic nie zapowiadało jej przyjścia. Stara i głupia, można by pomyśleć.

Północny wiatr przyniósł gwałtowne ochłodzenie. Postawiłam kołnierz płaszcza wysoko, aby osłonić uszy. Hanka była u ojca, więc nie musiałam robić zakupów na obiad. Pociuszająca myśl, zwłaszcza że byłam porządnie zmarznięta. Postanowiłam, że zjem tylko jakąś kanapkę. Ale najważniejsza jest ciepła herbata. O tak, herbata była dokładnie tym, o czym marzyłam. Ostatnie kroki do klatki przemierzyłam truchtem, by jak najszybciej schronić się w ciepłe mieszkanie. Wyciągnęłam listy ze skrzynki i windą wjechałam na górę.

Wodę w czajniku nastawiłam, zanim jeszcze zdjęłam kurtkę. Przygotowałam kanapki i gorący napój. Nastawiłam radio na kanał z muzyką poważną. Rozerwałam pierwszą z kopert. Kolejny rachunek. Na szczęście płatność dopiero w przyszłym miesiącu. Następny list lekko mnie zaniepokoił. Rozerwałam kopertę drżącymi rękami. „Komisja ds. rozwiązywania problemów alkoholowych”... Wciągnęłam dużą ilość powietrza do płuc, zanim odważyłam się czytać dalej. Niniejszym itd.... mam się stawić na komisji o 9:15 celem wyjaśnienia podstaw złożonego wniosku... Litery rozmazały mi się przed oczami, a pismo wysunęło z rąk. Więc jednak to zrobił! Złożył wniosek. Nie mogłam w to uwierzyć. Naprawdę to zrobił. Chwyciłam za telefon i wybrałam numer.

– Ty cholerny sukinsynu! Jeśli ci się wydaje...

– Ostrzegałem – przerwał mi ostro. – Ostrzegałem cię wiele razy, że jeśli jeszcze raz będziesz pijana przy dziecku, złożę ten wniosek.

– Nigdy nie byłam pijana przy Hance! Wypiłam tylko jeden czy dwa kieliszki wina.

– Jak codziennie przez ostatnie trzy lata. Hania płakała, gdy do mnie dzwoniła.

– Hania? Hania do ciebie dzwoniła? – nie mogłam uwierzyć.

– Mówiła, że strasznie się ciebie wstydzi. Co ty robisz własnemu dziecku? Melinę w mieszkaniu!

– Jaką melinę? Zupełnie na głowę upadłeś? Nic nie robię dziecku. Jest czyste, zadbane, nakarmione! Kocham ją!

– Kochasz? Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy? Kiedy ostatnio byłaś trzeźwa?



– Nie rób, do cholery, ze mnie pijaczki! – Zaczęłam tracić panowanie nad sobą. – Jeden kieliszek to nie alkoholizm!

– Jeden? Kiedy zatrzymałaś się na jednym? Zasypiasz przy stole, na kanapie, w wannie. Hania sama się myje, ubiera, robi sobie jeść.

– Nie jest małą dzidzią!

– Ona się ciebie wstydzi, rozumiesz?

– Kłamiesz!

– Nie. I kończę już tą idiotyczną rozmowę. Mała zostaje u mnie do czasu, aż podejmiesz leczenie.

– Chyba żartujesz! Nie masz prawa! Sąd oddał ją mnie! – Poczułam, jak niewidzialna kłamra zaczęła rozsuwać mi żebra, tworząc gigantyczną wyrwę w klatce piersiowej.

– A teraz sąd wyda opinię ponownie po decyzji komisji.

– Nieee! – ryknęłam jak zranione zwierzę. – Nie możesz mi tego zrobić!

– Nie rozumiesz, do cholery, że tu nie chodzi o ciebie?! Chcesz, to niszczyć sobie życie! Ale nie pozwolę ci zniszczyć życia naszej córce! Już zapomniałaś, jak to jest wychowywać się z alkoholikiem?

– Nie jestem alkoholikiem!

– To zrób coś, aby to udowodnić. Inaczej odbiorę ci Hanę. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

– Nie jestem alkoholikiem... – zdołałam jedynie wyszeptać niewyraźnie w przerwach między rozdzierającym szlochem, który nagle targnął całym moim ciałem.

\*\*\*

Postawiłam torbę na podłodze i rozejrzałam się niepewnie. Puste ściany szpitalnego pokoju wionęły chłodem. Łóżko, szafa, stolik. To moja przestrzeń na najbliższy miesiąc.

– O Boże, dodaj mi sił – szepnęłam i opadłam na łóżko.

Pod przymkniętymi powiekami przewijały się obrazy z ostatnich tygodni. Komisja, psycholog, stanowcza urzędowa terminologia, dobrowolne poddanie się leczeniu. Wciąż oszołomiona analizowałam po raz tysięczny te same wydarzenia. Nadal jednak nie mogłam sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek zaniedbała Hanię. Co prawda, niekiedy wypijałam więcej niż kilka kieliszków wina, ale nadal wykonywałam wszystkie swoje obowiązki. Jarek raz zastał mnie nietrzeźwą, ale przecież każdemu może się zdarzyć! Potem ta historia z komórką. Dlaczego się zgodziłam, aby dał dziecku telefon? Przecież Hania jest jeszcze za mała na taką technologię. Musiała do niego dzwonić, bo za każdym razem, gdy napiłam się wina, dostawałam od niego e-mail z pogrózkami, że złoży wniosek do komisji do spraw rozwiązywania problemów alkoholowych. Potraktowałam to jako kiepski żart, przecież nie miałam problemu z alkoholem. Kolejne wiadomości pisał coraz ostrzejszym tonem. Na końcu nawet

wyłuszczonego tekstem. Nie wierzyłam, że mógłby to zrobić. Jednak zrobił. I ta notatka ze szkoły, że gdy przyprowadzam Hanę, czuć ode mnie alkohol. Kiedy niby ktoś ode mnie go poczuł? Która krowa rozsiewała takie plotki? Mogłam, cholera, zabrać małego ten telefon! Nie byłoby mnie tutaj.

Sama się zgodziłam, wiem. Ale jakie miałam wyjście? Gdybym dobrowolnie nie poddała się leczeniu, toby mnie do niego zmusili. On tylko na to czekał! Chciał, abym się nie zgodziła. Żeby w ogóle nie stawiała się przed tą komisją. Zabrałby mi Hanę. Niedoczekanie! Ani on, ani ta jego larwa nie dostaną mojego dziecka! Ja ją wydałam na świat. To mi rozerwała łono, zaczerpując życia dla siebie oddechem. Ja walczyłam o nią pięć lat. Dzień w dzień przez 1825 dni terapii, gdy on się rozwijał, awansował, wyjeżdżał, żył. A potem zostawił mnie, jak nic niewartego śmiecia, bo nie spełniałam jego oczekiwań. Zresztą Hanę też zostawił. Za nic miał wtedy jej emocje. A teraz ją chce? Dzieci potrzebują matki! Przejdę tę pieprzoną terapię i udowodnię, że nie mam problemu! A wtedy założę mu sprawę o oszustwo! Nie jestem mściwa, ale ile można znieść? Zapłaci za to! Odda zawiązką. Za te lata, ten trud, za wszystkie łzy i za ten szpital psychiatryczny. Za to zapłaci najwięcej!

Mój Boże, co ja tu robię?

To tylko dwa miesiące, powtarzam sobie w myślach. Muszę tu przetrwać dwa miesiące. A właściwie tylko jeden na terapii zamkniętej. Drugi na otwartej, więc będę mogła wrócić do domu. Bez krat w oknach... Przecież nie jestem wariatką. Przyszłam tu dobrowolnie. Po co więc te kraty?

Przetrwam! Mam nową mantrę. Przetrwam.

\*\*\*

Instytut Psychiatrii i Neurologii nie miał takiego psychodelicznego oblicza, jakie mu przypisałam. Na moim oddziale nie było krzyczących ludzi, za to przygnębienie i obojętniająca nuda. Zbitek osób w różnym wieku i stanie emocjonalnym. Nierozumiejących ani siebie, ani innych. Osób, które miały na zawsze wedrzeć się do moich wspomnień i nocnych koszmarów.

Większość z nich dobrze знаła to miejsce. Wracali po kilka razy. Ich historie brzmiały niemal tak samo. „Alkoholicy kłamią. Zawsze kłamią. Są mistrzami manipulacji” – padło już na pierwszym mityngu. Muszą kłamać, bo boją się przyznać, że alkohol pomaga im przetrwać wszystkie trudne sytuacje, a także dlatego, że nie wyobrażają sobie bez niego życia. Wymyślają więc różne powody, nawet niestworzone, żeby to picie uwiarygodnić.

„To bez sensu”, myślałam. Czy sama kłamałam? Przecież nie. Oni wszyscy byli tu z tego samego powodu. Sprowadzili mnie na ziemię już pierwszego dnia, gdy wydawało mi się, że jestem najniezwyklejsza na świecie. Poszłam na mityng i spotkałam tam kilkanaście osób, które myślały dokładnie tak samo. Każdy mówił, że jest szczególnie, nierozumiany, nieszczęśliwy.

– Wyjaśnijmy sobie tę kwestię od razu, żebyśmy mogli przejść do prawdziwej pracy – zaczął starszy mężczyzna o orlim profilu. Gdybym go spotkała na ulicy w innych okolicznościach, pomyślałabym, że to odpowiedzialny człowiek sukcesu. – Już to przerabiałem. Użalać się możesz przed ludźmi, którzy nie znają naszego problemu. Pewnie ci nawet uwierzą, że masz powody, aby pić. Tylko nie próbuj tego z trzeźwymi alkoholikami. My się nie nabierzemy! Byliśmy tam, gdzie ty.

Dlatego w terapii nie może brać udziału nikt z rodziny. Aby nie tworzyć relacji, odniesień. W tym miejscu trzeba się obnażyć. Nie wolno oceniać. Odnieść się do wypowiedzi przedmówcy można wyłącznie w celu porównania do własnej sytuacji. I choć w ocenie terapeuty nie korzystałam z tych spotkań tak, jak bym mogła, gdybym się otworzyła, z czasem zaczęłam się na nich czuć całkiem dobrze.

Niektóre opowieści brzmiały dokładnie jak moja. Pewien młody chłopak wspominał, jak manipulował swoją żoną. Chciał kupić w sklepie osiem piw. Wiedział, że żona będzie oponować, wpakował więc do wózka cztery czteropaki. Żona podniosła krzyk, że chyba oszalał, połowa zdecydowanie wystarczy. Osiągnął swój cel, a ona uznała, że liczy się z jej zdaniem. Wilk syty i owca cała. Innym razem nalegał na pójście do pubu, obiecał nawet, że z nią potańczy, choć tego nienawidził. Wiedział, że ma okres i bardzo boli ją brzuch. W końcu to ona zaproponowała, że może skoczy do sklepu po piwo i obejrzą jakiś film. „Będzie taniej – argumentowała. – Kupisz cztery puszki za cenę jednego kufła w knajpie”. Zgodził się, udając smutek. Już za drzwiami radośnie pobiegł do sklepu.

Ile razy ja posuwałam się do takiej manipulacji? W dodatku zupełnie niepotrzebnie, bo nie musiałam się przed nikim tłumaczyć z kupionej butelki wina. Musiałam jednak usprawiedliwić się sama przed sobą. Przecież nie miałam problemu z alkoholem...

Historie, których tam wysłuchałam – mimo zaleceń lekarza, by im nie wierzyć – wsiąkały we mnie i zapuszczały korzenie. Nie sądzę, bym kiedykolwiek zdołała się od nich uwolnić. Nie umiałam zachować do nich zdrowego dystansu. Może patrzyłam na wszystko przez pryzmat własnej opowieści? Pewnych rzeczy po prostu nie da się wymyślić.

Na terapii poznałam Franka. Pantofla Franka, jak mawiali ci, którzy znali go z poprzednich terapii. Wracał regularnie. Żona ratowała się przed nim skierowaniami na leczenie. Ale nie odeszła od niego. Kolejna ofiara z problemem DDA.

Pantofel miał cztery lata, gdy matka po raz pierwszy kazała mu robić sobie te wszystkie straszne rzeczy, o których nawet mówić nie mógł. Gdy udawał, że nie słyszy, że śpi, było jeszcze gorzej. Wywlekała go z łóżka za włosy i zmuszała. Potem wciskała mu różne przedmioty do odbytu, by go rozepchać. Przygotować dla ojczyma. Pamięta, że chodził do przedszkola w pielusze, by krew nie przesiąkała przez spodnie. Wymiotowałam cały wieczór po wysłuchaniu tej opowieści. Obraz tego małego chłopca wrył mi się w głowie na zawsze. Myśląc o tym malcu, życzyłam mu śmierci.

Naprawdę mu jej życzyłam! A tymczasem on dorósł, założył rodzinę i dziś... znęca się nad własnymi dziećmi. Twierdzi, że nie seksualnie, ale psychicznie. Zresztą kto wie. Czy alkoholikowi można ufać? Najpotworniejsze w tej historii jest to, że nie potrafię go za to winić. Nie potrafię go jednoznacznie oskarżyć i skazać. Nie potrafię...

W szpitalu miałam problem z zasypianiem. Leżałam długo, przewracając się z boku na bok i próbując zrozumieć, dlaczego właściwie tu jestem? Czemu spotykam tych ludzi? Czemu przetrzymuję ich historie w umyśle jak w więzieniu.

Głosy wiosny, głosy nocy przemawiały do mnie zewsząd. Niewidzialne. Przynosiły niechciane i dawno zapomniane wspomnienia.

Kiedy miałam 17 lat, umarł tata mojego ojca. Postanowiliśmy z Mariuszem nie wracać od razu po uroczystościach pogrzebowych, tylko zostać jeszcze kilka dni z babcią. Z rodzicami ojca mieliśmy słaby kontakt. Byliśmy u nich kilka razy na wakacje. Nie wynikało to tylko z odległości, ale z jakiejś bariery między nami, której nikt nie potrafił nigdy rozsądnie nazwać. Czuło się ją, ale nie sposób było określić, na czym właściwie polega. Z pewnością nie na niechęci, bo dziadkowie podczas tych krótkich pobytów u nich starali się nam ze wszech miar dogodzić. To jednak nie topiło tej góry lodowej między nami. Czuliśmy się w ich obecności niepewnie.

Podjęliśmy decyzję, aby odrobinę odświeżyć chałupę babci. Z energią charakterystyczną dla obserwatorów cudzego dramatu zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się za porządki. Z rozpędu zawędrowaliśmy ze szczotkami nawet na zagracone poddasze. I tam, na tym zapomnianym przez Boga i ludzi strychu, w drewnianej skrzyni, między prześcieradłami znalazłam starą pocztówkę z widokiem rodzinnego miasta. Na odwrocie brzydkim, niedbałym pismem skreślono jakby w pośpiechu kilka słów:

*Mam córkę! Całuję jej bose różowe stópki i nie mogę uwierzyć, że to cudowne stworzenie to krew z mojej krwi. Jestem taki szczęśliwy.*

Podpisane: Wojtek. Maj 1968.

Jedyny dowód miłości w moim życiu. Jedyne ciepłe słowa powiedziane o mnie. Łzy zaczęły rozmywać zaschnięty atrament. Wystraszona schowałam kartkę pod koszulą. Najbliżej jak mogłam przy sercu.

Nie pokazałam jej nigdy Mariuszowi. Nie wiem, czy bardziej bałam się jego zazdrości, czy bólu, jaki mogłam mu tym zadać.

Babcia opowiadała mi później, gdy już byłam na studiach, że mój ojciec przychodził do niej wiele razy we śnie. Czasem zastanawiała się nawet, czy to na pewno były tylko sny...

– Przychodził i błagał „zaopiekuj się moimi dziećmi”. We śnie tak do mnie mówił – tłumaczyła się babcia wstydliwie. – Raz nawet dziadka do was do szkoły wysłałam. Pamiętasz? Cukierki wam przywiózł. Ale nic niepokojącego nie widział.

– I to was uspokoiło? Nie pomyślałaś, że ojciec nawiedza cię nie bez powodu?

– Człowiek stary, nieuczony, pomyślałam, w zabobony jakieś wierzy i ludzie go

wyśmieją.

– Babciu, a świętych obcowanie?

– Jakich świętych, Mirusiu? Przecie ojciec potępiony jest, samobójca. Myślała ja, że z samego piekła do mnie przychodzi, by mnie dręczyć.

– Babciu...

Nie wiedziałam nawet, co jej powiedzieć. Że miała uwierzyć w dręczące ją koszmary, w senne mary i widziadła? Jednak tak trudno usłyszeć, że ratunek był tak blisko. Że nasze życie mogło wyglądać inaczej.

\*\*\*

Nie potrafię wskazać, kiedy zaczęłam myśleć o sobie jak o alkoholiku. Podczas terapii jeszcze się przed tym broniłam. Nie byłam taka jak oni. Pokutowało we mnie wyobrażenie, że alkoholikiem jest bezdomny żul. Ja byłam wykształcona, miałam pracę, mieszkanie i córkę.

Może wtedy, gdy Hania w złości nazwała mnie pijaczką. Myślałam, że spalę się ze wstydu. Szybko jednak wytłumaczyłam sobie, że powtarza słowa Jarka. Przecież nie zaniebdywałam ani jej, ani domu. Piłam, owszem, ale tylko wieczorami, gdy wykonałam już wszystkie obowiązki. Nagradzałam siebie w ten sposób za radzenie sobie z życiem lub po prostu uciekałam od codziennych kłopotów. Najczęściej jednak robiłam to, by nie czuć już bólu.

Może wtedy, gdy zauważyłam jakieś ochłodzenie uczuć do Hanki. Tłumaczyłam to oczywiście jej bliskim kontaktem z Jarkiem, wyraźnym przez niego zmanipulowaniem. Nastawił ją przeciwko mnie, wyczuwałam w niej wrogość, stąd mój pojawiający się coraz częściej brak emocji.

A może wtedy, gdy wybierając nową torebkę w sklepie, myślałam, czy zdołam w niej ukryć butelkę wina.

Pochodzę z rodziny, w której mężczyźni nadużywali alkoholu. Jednak kobiet to nie dotyczyło. Nigdy nie myślałam, że wieczorne lampki wina mogą być początkiem alkoholizmu. Znałam tylko taki sposób na rozładowanie stresu. W sumie to nawet go lubiłam. Coraz częściej znajomi dopytywali, co się ze mną dzieje, czemu ich unikam. W pracy robili uwagi. Tłumaczyłam się różnie, głównie obowiązkami, ale tak naprawdę nie mogłam się już doczekać wieczoru, kiedy się znieczulę. Po incydencie z Hanką zaczęłam się ukrywać z alkoholem. Nie trzymałam go w kuchni, tylko w swoim pokoju. Lęk przed zdemaskowaniem sprawiał, że wyszukiwałam coraz wymyślniejsze kryjówki bądź zamykałam szafę na klucz, co przecież jeszcze wyraźniej wskazywało na problem. Zgłoszenie przez Jarka sprawy na komisji i w szkole było dnem, które osiągnęłam. Przez te dwa miesiące terapii myślałam wyłącznie o tym, że chcę się wyleczyć. Pragnę przestać pić.

\*\*\*

Tym razem Jarek wezwał policję.

Hanka zapomniała pracy domowej i wpadli po nią wieczorem. Wyczuł alkohol, chociaż trzymałam się od nich na odległość. Całkiem uprzejmy policjant przyjął grzecznie zgłoszenie i zapewnił, że dotrze ono do komisji. Obyło się bez awantury, bo nie zamierzałam się bronić. Urzędas pieprzony. Wszystko zgodnie z procedurą, jaką dla mnie opracował.

Gdy wyszedł, wyłam jak potępiona. Nie dlatego, że piłam, ale że tak to się skończyło. Zadzwoiłam do Anny, ale szybko tego pożałowałam. Krzyczała na mnie jak oszalała. Jacy wszyscy zrobili się nagle bezwzględni! Jak łatwo przychodzi im formułowanie arbitralnych sądów. Ludzie spotykają się ze znajomymi, piją przy dzieciach na działkach, grillach, imieninach i nikt ich za to nie ciąga po sądach. Co więcej, nikt im nawet nie zwróci uwagi. Ja wypiłam kieliszek wina. Dziecka zresztą nie było...

Dzięki terapii oczywiście rozumiałam działanie Jarka. Wiedziałam, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej. „Przede wszystkim nie można się nad alkoholem rozczulać – mówią mędracy w białych fartuchach. – On tylko na to czeka. Jeśli okaże mu się serce, wykorzysta to bezwzględnie i podstępnie. Pijak rozumie tylko argumenty siłowe i strach, dlatego pomoc może mu jedynie osoba zdecydowana i niebojąca się niczego. Alkoholik, który uczepił się okazanego mu współczucia, będzie kłamał i zmyślał tak bezczelnie i obrzydliwie, że nawet nie sposób sobie tego wyobrazić. Powie, że ma raka i wkrótce umrze, może nawet pokazać jakieś zaświadczenia, na których jego znajomy lekarz coś nabazgrał. Opowie o swoim koszmarnym dzieciństwie i o tym, jaki był biedny, może się przy tym nawet rozpłakać. Zrobi wszystko, byle tylko odwrócić uwagę od właściwego problemu, czyli swojego pijaństwa”. Jednak w działaniach mojego męża kryła się jakaś bezwzględność. Brak człowieczeństwa.

Zrobiłam duży krok, odwaliłam kawał dobrej roboty. Na początku drogi trzeźwienia przeszłam piekło. Pierwszy miesiąc, zwany „miodowym”, przeżyłam wyjątkowo intensywnie. Zmotywowanie do działania mieszało się z dynamicznymi zmianami nastrojów. Ze skrajnej depresji przechodziłam w stany euforii. I na odwrót. Myślałam, że wraz z rozpoczętą walką zaczęła się u mnie jakaś choroba psychiczna. W porównaniu z tym stanem przyznanie się do alkoholizmu było relatywnie łatwe. Myśl o czerwonym winie prześladowała mnie na każdym kroku. Śniłam wyłącznie o tym, że piję. Często płakałam. Czułam się jak w matni. Na myśl o tym, że już nigdy nie wolno mi się napić, dostawałam dreszczy. Wtedy dowiedziałam się o metodzie 24 godzin. Co prawda, dotyczyła wielu płaszczyzn życia, na przykład wychowywania dzieci, jednak pasowała także do mojej sytuacji. Mówiła o tym, że jeśli założysz, że czegoś nigdy nie zrobisz, to polegniesz. „Stanę się cierpliwsza, nie będę krzyczeć na dziecko” – jeśli założysz „nigdy”, nie uda się. Musisz wyznaczyć kolejne kroki. Dziś (!) nie będę na nie krzyczeć. Dziś nie będę pić. Jutro zobaczymy.

W odniesieniu do picia metoda uczy alkoholika pewnego rodzaju pokory. Kiedy

składa on przysięgi abstynenckie, w domyśle ma ich dotrzymać do końca życia. Zdaje mu się, że osiągnie to dzięki silnej woli, męstwu i wytrwałości. Choroba alkoholowa szybko rozwiewa te iluzje i często nawet wspomniane 24 godziny okazują się za ciężką próbą. Dzieli się je wówczas na mniejsze jednostki czasowe – nie piję godzinę, dwie, osiem. Zaleca się codzienne dziękowanie Bogu (jakkolwiek jest On przez nas pojmovany) za kolejną 24-godziną porcją trzeźwości.

Świetna metoda. Sprawdziłam. Rzeczywiście działała. Dopóki nie zapiłam...

Potem było już tylko gorzej. Byłam zbudowana ze strachu, wstydu i poczucia winy. Straciłam do siebie szacunek. A wewnętrzna martyrologia sprowadzała mnie tylko na manowce.

Dopóki jednak co miesiąc dostarczałam papiery, że się leczę, że uczestniczę w mitingach, nie powinni odebrać mi Hanki. Ale taki wpis w pół roku po zamkniętym leczeniu nie będzie działał na moją korzyść. Czasem myślałam, że gdybym straciła córkę, nie miałabym po co żyć. Czułam, że mogłabym skończyć ze sobą. Innym razem zaś nie byłam tego taka pewna. Żłudne okazało się myślenie, że porzucę alkohol dla Hani, która z czasem stawała się bytem coraz bardziej mglistym i mniej rozpoznawalnym.

\*\*\*

Ściszyłam radio. Wydawało mi się, że słyszę skrobanie w drzwi. Delikatne, nieśmiałe szuranie pazurami. Pewnie znowu pies sąsiada dotarł na górę szybciej niż jego pan. Nigdy jednak nie mylił drzwi. Chwilę nasłuchiwałam, ale dźwięk się nie powtórzył. Wróciłam do korekty tekstu. Od trzech dni ciekło mi z nosa i trawiła mnie gorączka. Zostałam w domu, a nagłą pracę dostali mi z firmy e-mailem. Hankę ojciec zabrał do siebie, żeby jej nie zaraziła. W radiu właśnie puścili *Taniec rycerzy* Prokofiewa, więc machinalnie podgłośniłam stację. Nie znam się na muzyce, ale do rosyjskich klasyków zawsze miałam słabość. Głównie do Czajkowskiego i właśnie Prokofiewa. Na wyciągniętej dłoni dostrzegłam wstydlive plamy. Odkąd doktor potwierdził, że są one wynikiem obciążenia organizmu alkoholem, wciąż zwracałam na nie uwagę. I choć większość ludzi stykających się ze mną zapewne nie miała pojęcia, skąd się wzięły, dla mnie były jak stygmaty.

Odłożyłam pióro, bo szuranie powtórzyło się i przybrało na sile. Tym razem nie miałam już wątpliwości, że coś skrobie w moje drzwi. W bojowym nastroju ruszyłam na spotkanie z czworonogim intruzem. Z impetem otworzyłam drzwi, przez które najzwyczajniej na świecie wpadł do środka mój brat. A raczej część jego ciała, bo reszta pozostała na korytarzu. Wybełkotał coś na kształt przywitania i zupełnie poddał się grawitacji. Chwyciłam go za rękę i z trudem przeciągnęłam przez próg. Podniósł się obruszony i przytrzymując się niepewnie ściany, dotarł do kanapy w pokoju.

– Zrobić ci coś do picia? – zapytałam litościwie. – A może byś coś zjadł?

– Wszystko, co potrzeba, mam przy sobie – zapewnił gorliwie, poklepując się po

plecaku, w którym pobrzękiwały butelki piwa.

– Tego to akurat na dzisiaj chyba ci wystarczy – Próbowałam odebrać mu kruchy ładunek.

– Co to to nie. Dopiero się rozgrzewam.

– Aha... – powątpiewałam.

– Nie jest ze mną tak źle, jak to mogłoby wyglądać – powiedział. Ku mojemu zdziwieniu dość składnie. – Przysiadłem pod drzwiami, bo nie byłem pewny, czy wejść. A wtedy ty je otworzyłaś. I masz babo placek.

– Nie jestem idiotką, mój drogi, więc mnie tak nie traktuj. Widzę, kiedy człowiek ma dość.

– Wiem, wiem... Masz absolutne prawo wiedzieć – przedrzeźniał ton dziadka, gdy układałam go do łóżka wbrew jego woli.

Odwróciłam się do Mariusza wściekła, piorunując go wzrokiem.

– Co tak na mnie patrzysz? Przecież wiem, że też za kołnierz nie wylewasz.

– Dobra, zmieńmy temat. – Przykucnęłam na podłodze. – Więc co cię do mnie sprowadza?

– Miłość. – Zaśmiał się przeciągle. – A co, nie wierzysz?

– Nie bardzo, przyznaję.

– Ale że w co właściwie? Że w miłość czy w moje pobudki?

– Więc? – nie dałam się podpuścić.

– Nie wolno się stęsknić za siostrą? Jedyłą siostrzyczką, jaką się ma na świecie?

– Wolno. Zatem zaspokój tęsknotę, prześpij się trochę, a porozmawiamy, gdy wstaniesz. – Podałam mu koc i poduszkę.

– Nie wiem, czy wtedy jeszcze będę umiał – powiedział pod nosem.

– Słucham? – Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

– Nic, nic. Dobranoc.

– Dobranoc dla ciebie. Dla mnie to było dotąd całkiem dobre popołudnie. Śpij już – nakazałam, wychodząc z pokoju.

– Baśka ode mnie odeszła – wyrzucił z siebie.

– Baśka? – Wróciłam do pokoju.

To była jedyna osoba, której udało się naruszyć jego przestrzeń ochronną. Całkiem niedawno przebąkiwali coś nawet o ślubie.

– Tak, Baśka. Wiesz, blond kręcone włosy, niebieskie oczy, szwendała się czasem po domu dziadka – ironizował, próbując ukryć zmieszanie, że mi o tym powiedział.

– Co powiedziała? – spytałam idiotycznie, siadając przed nim na podłodze.

– Co powiedziała? Cha cha, uśmiejesz się! Że jestem przekłety! Uwierzysz? Przekłety... Że życie ze mną doprowadziłoby ją do ruiny. Że niszczę wszystko. Że dążę do autodestrukcji. Że zniszczyłbym ją i nasze dzieci... Noszę w sobie dziedzictwo ojca...



Nie wiedziałam, co mogłabym na to odpowiedzieć. Zaskoczył mnie. Słuchałam tych słów, jakby te zarzuty Baśka stawiała mnie. Skuliłam się w sobie, nie umiejac ich odeprzeć.

– Żeby chociaż powiedziała, że jestem pijak – ciągnął już ciszej. – Że nie będzie zakładała rodziny z moczymordą. Nie wiem... może bym starał się ją przekonać... może rzeczywiście chciałbym się zmienić... ale – urwał niespodziewanie. – Napij się ze mną, siostra! – Otworzył butelkę piwa, zahaczając kapslem o drugą, i wyciągnął ją w moją stronę. – Za przeklętych tego świata!

Wychyliłam szybko dwa łyki, aby nie było odwrotu. By rozsądek mnie przed tym nie powstrzymał.

– Za przeklętych... – Oczy zaszyły mi łzami. – Powiedz, czemu tu właściwie jesteś? – spytałam delikatnie, aby go nie spłoszyć. – Czemu po tylu latach przyszedłeś właśnie do mnie, by o tym... o sobie opowiedzieć?

– Nie wiem – powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałam. – Może dlatego, że nie znam innej kobiety, nie znam żadnej kobiety – poprawił się – która by mi coś opowiedziała o waszej płci.

Skubałam bezwiednie rąbek spódnicy. Ja miałam go nauczyć czegoś o kobietach? Kobiety w tej rodzinie nie wiedzą nic o innych. Kobiety w tej rodzinie nie umieją nikomu pomóc. Nawet sobie.

Otworzył kolejne piwo. Nie pytając o zgodę, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

– Muszę, wybaczyć – zreflektował się po chwili, strzepując popiół do puszki. – Nie mów matce, że palę, OK? Nie musi wiedzieć.

– Dobrze.

Zaskoczył mnie tą prośbą. Był dorosły, a ona nie uczestniczyła w naszym życiu od dawna. Nie musiał się przed nią tłumaczyć.

– Wiesz, śni mi się często, że ona umiera – podjął po chwili. – Stoję przy jej łóżku i trzymam ją za rękę. Do ucha szepczę błagalnie: „Nie zostawiaj mnie samego”. Odpowiada delikatnym uśmiechem. Ale wtedy widzę, że to nie ja ją trzymam za rękę, tylko Janek. Ja stoję niewidoczny za jego plecami. „Kocham cię, synku”, to jej ostatnie słowa. Wtedy chcę wyrwać ją śmierci. Ocucić, tchnąć w nią życie na nowo tylko po to, by zacisnąć dłonie na jej szyi i własnoręcznie jej je odebrać.

Zamilkł na chwilę i zaciągnął się głęboko papierosem. To, co powiedział później, nie miało nic wspólnego z pijackim bełkotem, którym mnie przywitał. Zaczęłam nawet podejrzewać, że był on jego tarczą ochronną, gdybym jednak nie zdecydowała się na rozmowę. Mógł się za nim bezpiecznie schować i wyjść z całej tej sytuacji z twarzą. Oczywiście w swoim przekonaniu

– Tymczasem nie umiem go skutecznie odebrać nawet sobie – kontynuował. – Mam wrażenie, że całe życie umierałem. Umierałem z pragnienia bezpieczeństwa. Marzyłem

o schronie, ale piwnice od dawna budziły we mnie lęk. Stodoła zaś miała zbyt cienkie ściany i życie przeciekało przez nieszczelne deski.

Przeciekła i Basia, choć zupełnie nie wiem jak.

Najpierw przeciekły jej dłonie. Jej białe, zawsze zmarznięte dłonie, które zamknęły się na moich. A moje ręce omdlewały z pragnienia, aby je ktoś uścisnął. Nie musiałbym wtedy po omacku wyciągać ich przed siebie i badać przeszkód piętrzących się przede mną. Ona to wiedziała. Musiała wiedzieć. A może po prostu była tak opiekuńcza. Poddałem się jej sile dobrowolnie i natychmiast. Ciągnęła mnie za sobą, ciągle trzymając za rękę. To była taka ulga. Zaufać i pozwolić się prowadzić.

Potem przeciekły jej włosy. Pachnące rumiankiem i cynamonem. Zapach był tak kojący, przyjemny i słodki, że obudził we mnie pragnienia, jakich wcześniej nie znałem. Zatraciłem się w nich bez pamięci. Był taki moment, że nie chciałem jej wypuszczać z domu, z łóżka. A gdy wychodziła, nie otwierałem okien, aby wiatr nie wywiał zapachu unoszącego się jeszcze w pościeli.

Niestety, potem przeciekły jej oczy. Wnikliwe. Przewiercające mnie na wylot. Odkrywające coraz mroczniejsze obszary. Nie mogłem się przed nimi ukryć. Stodoła przestała być azylem. Wiedziałem, że za chwilę stanę się nagi. Nic się przed tym błękitem nie ukryje. Ze złości chciałem ją zmylić. Zgubić w labiryncie, aby poznanie nie nastąpiło za szybko. Ale i to odkryła bezbłędnie. Byłem wściekły. Niszczyłem ją, raniłem. Odsuwałem daleko, by w chwilach rozpaczki dopaść do jej nóg i skamleć jak pies. By czuć zapach jej włosów. By włożyć pokaleczoną dłoń w jej ciepłą i bezpieczną rękę. Potem na nowo karałem. Niszcząc ją, niszczyłem siebie. Nie wiem już, czy bardziej jej pragnąłem, czy nienawidziłem.

– A może kochałeś? – spytałam nieśmiało, wciąż myśląc o tym, co przed chwilą powiedział.

– A co to znaczy? Mira, błagam, powiedz mi, co to znaczy? Po to tu jestem. Powiedz, czy ja w ogóle umiem kochać?

– Nie wiem – powiedziała cicho, bezradnie opuszczając ramiona.

Miałam ochotę się skulić, zwinąć w kłębek. Jak jeź.

Patrzył na mnie z wyrzutem. Czyżby naprawdę oczekiwał ode mnie pomocy? Przecież musi zdawać sobie sprawę, że wiem jeszcze mniej niż on. On miał w życiu pragnienia. Prawdziwe pragnienia. Ja zaznałam tylko marnych podniet.

– Jestem jałowa, Mariusz – odezwałam się w końcu. – Z tej ziemi nic nie wykiełkowało. I nie wydaje mi się, by kiedykolwiek jeszcze wyrosło. Możesz mnie przesytać między palcami i nie znajdziesz tam nic życiodajnego. Pustynia.

– Masz Hanke. To musi wysyłać jakieś impulsy. One muszą do ciebie docierać.

– Nie wiem. Może. – Zamyśliłam się, ale nie potrafiłam odszukać nic, co mogłabym potraktować jako koło ratunkowe. – A może jest tylko efektem bezmyślności i bezsensu całego mojego życia. Może zniszczyć ją tak, jak oni zniszczyli nas.

– Wtedy własnoręcznie obłukę ci mordę – uniósł się nagle. – Zrób jej krzywdę, a będziesz miała jednego prześladowającego demona więcej.

– Przecież nie robię tego... – urwałam, bo straciłam pewność wypowiedzianych słów. Czy na pewno nie robię tego świadomie? A kto podejmuje za mnie wybory? Kto wlewa mi palący alkohol do ust, kto spakował mojego męża i wyrzucił z życia Hanki?

Na szczęście Mariusz tego nie skomentował. Może wiedział, że nie musi. A może był zbyt zajęty rozszarpywaniem własnej duszy. Piekielnie ciężkiej duszy, bo nie zdążył jeszcze rozdać siebie.

Za oknem robiło się ciemno. Żadne z nas nie wstało jednak, by zapalić światło. Siedzieliśmy i pozwalaliśmy ciemności przenikać do naszego wnętrza. Stapialiśmy się z nią. Przez chwilę miałam wrażenie, że po policzkach brata płyną łzy, ale mogły to być tylko cienie tańczące po pokoju.

Ciemność zagarnęła nasze dusze. Dobrowolnie oddaliśmy jej też umysły. Zmęczeni trwaliśmy przy sobie w całkowitym milczeniu, rozdrapując własne rany. Pozwoliliśmy jej też opanować nasze serca, a rozpacz, która wdarła się wraz z nią, kazała nam opróżnić butelki do ostatniej kropli.

Obudziłam się z bólem szyi. Głowę miałam na nogach Mariusza leżącego na kanapie. Ponieważ ciągle siedziałam na podłodze, pozycja, w której przespałam co najmniej kilka godzin, spowodowała rwący ból stawu barkowego i skurcz łydek. Podniosłam się możliwie bezszelestnie. Na tyle, na ile pozwalał na to stan upojenia i przykurcz mięśni. Mariusza chyba jednak nie obudziłoby nawet stado słońi. Przykryłam go kocem i poszłam do sypialni Hanki. Z ulgą wyciągnęłam się na jej niewielkim łóżeczku.

Rano zjedliśmy wspólnie śniadanie. Gdy wstałam, jajecznica była już gotowa, a w dzbanku parzyła się świeżo zmielona kawa. W radiu skrzypce walczyły z orkiestrą.

– Nie można nie lubić Brahmsa, co? – Mariusz wystukiwał widelcem rytm.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Głowa mi pękała. Ale miał rację. Nie można nie lubić Brahmsa. Szklanką wody popiłam pigułki przeciwbólowe.

Mariusz wydawał się nie ponosić najmniejszych konsekwencji wczorajszego wieczoru. Choć może tylko udawał doskonały humor, byśmy nie wracali do naszej rozmowy. Jakkolwiek było naprawdę, pasowało mi to, więc podtrzymywałam luźną konwersację. Kątem oka zauważyłam, że uprzętnął dowody zbrodni, ustawiając siatkę z pustymi butelkami pod drzwiami wejściowymi. Z dna plecaka wyciągnął wymiętego misia.

– To dla Hanki – rzucił nieśmiało, sadzając pluszaka na kuchennym stole. – Myślałam, że może ją spotkam...

– Pomieszkuje u Jarka, bo ja jestem trochę przeziębiona. – Poczulałam, że muszę się wytłumaczyć.

– Aha. Może to i dobrze, że nie widziała mnie w takim stanie... W każdym razie

daj jej to ode mnie, OK?

– Tak, jasne – zapewniłam zbyt gorliwie.

Zebrał się pospiesznie zaraz po śniadaniu, tłumacząc odjeżdżającym pociągiem, pożegnał niezręcznie i zniknął za drzwiami. Patrzyłam za nim z uczuciem głębokiego żalu. Znowu go zawiodłam. Przyjechał tu, licząc na pomoc. Choć raz w życiu mogłam mu jej udzielić. Tyle że tym razem zupełnie nie wiedziałam jak.

– Powiedz – jego ciemna czupryna wyłoniła się jeszcze zza futryny – czemu ona nas nie chciała?

– Mariusz – jęknęłam bezradnie.

Pokiwał tylko głową i zniknął za drzwiami. Tym razem na dobre.

\*\*\*

Ze szkoły wróciłam wściekła. Hanka wdała się w jakąś kłótnię z koleżanką, co skończyło się szarpaniną i podrapaną twarzą. Dotychczas we wszystkich sprawach z nauczycielami kontaktował się Jarek. W szkole wiadano, że mama Hani ma problem alkoholowy, więc woleli rozmawiać z nim. Ja natomiast krępowałam się udzielać, proponować zrobienie ciasta na zabawę klasową czy chociaż kupno i przywieszenie balonów. Hanka zresztą nie chciała chodzić na takie uroczystości, wymawiała się bólem brzucha czy głowy. Pewnego razu odkryłam jednak, że wszystkie dolegliwości natychmiast ustają po zapewnieniu, że ja się z nią tam nie wybieram, tylko tata.

Tym razem jednak nalegano, abym to ja stawiała się na rozmowę. Ze spuszczoną głową słuchałam upokorzona, że awantura wybuchła, gdy koleżanka chciała dopiec Hani, wyzywając ją od córki pijaczki. Nauczycielka zarzekała się, że nigdy z dziećmi o tym nie rozmawiała, więc nie wie, skąd mają taką wiedzę. W efekcie Hanka płakała od dwóch godzin, że nigdy już nie pójdzie do szkoły. Pani oczywiście chciała, żebym o tym wiedziała, bo w jej ocenie dziecko wymagało pomocy psychologicznej.

Pogłupieli wszyscy z tymi terapiami. Panaceum na każdą sytuację.

Nie rozmawialiśmy z Hanią przez całą drogę, ale obiecywałam sobie, że zrobię to, gdy tylko wrócimy do domu. Nie było to jednak tak proste, jak zakładałam. Naburmuszona natychmiast zniknęła w swoim pokoju.

– Haniu – zaczęłam niepewnie, zaglądając do niej – chcesz mi coś powiedzieć?

Milczała.

– Haniu? – delikatnie ponagliłam po dłuższej chwili.

Patrzyła na mnie wyzywająco. Bez słowa.

– Haniu, nie możesz się bić z koleżankami. Słyszysz, co mówię? – Jej zacięte usta tak bardzo mi kogoś przypominały. – Ludzie często mówią nieprawdę, ale nam nie wolno ich za to bić. Możesz ich wyśmiać. Przecież ja cię nigdy nie uderzyłam. Tata też nie. Nie wolno ci robić czegoś takiego.

Stała tam niema i dumna. Tak bym chciała zetrzeć z niej ten dobrze znany i zniechęcający wyraz twarzy. Budowała mur. Nie miałam wątpliwości, że mnie przez

niego nie przepuści. Nie wiedziałam, co robić. Powinnam ją jakoś ukarać? Dostała już dziś sporą dawkę gorzkości. Nie miałam pojęcia, co zrobić, gdyby upierała się, że nie wróci do szkoły. Przecież siłą jej tam nie zawlokę. Czułam się rozbita. Z ulgą przyjął niespodziewany dźwięk dzwonka telefonu. Zyskałam na czasie.

– Mira? – Głos Anny w słuchawce brzmiał trochę niepewnie.

– Tak. Coś się stało, że dzwonisz? – spytałam zgryźliwie.

Ma wycucie. Przed chwilą złorzeczyłam jej, widząc ją w twarzy własnego dziecka.

– Tak – zamilkła. Poczułam mrowienie na całym ciele. W napięciu czekałam, aż w końcu przemówi. – Mariusz miał wypadek na motorze. Nie żyje.

\*\*\*

Patrzyłam w jego zniszczoną i wychudzoną twarz i go nie rozpoznawałam. To nie mógł być on. Dałabym sobie rękę uciąć. Ta obca i martwa powłoka nie miała nic wspólnego z moim małym braciszkiem. Z jego piękną duszą. Zbyt wrażliwą, by umieć żyć. Kartonowe wargi zastygły na w pół uchylone. W rękach miał różaniec. Ten sznurek z paciorkami budził we mnie nienawiść. Że niby co to ma znaczyć? Obol dla Charona?

Dotknęłam dłoni brata i poczułam elektryzujące mrowienie. Przed oczami stanęły mi wszystkie zimne ręce, których miałam w życiu okazję dotykać. Śmierć odtańczyła chocholi taniec z udręczonymi wspomnieniami. Wśród tych rąk jedna, bezwładnie wisząca, której nie powinnam wypuścić. Już wtedy wiedziałam, czułam, że jeśli pozwolę jej wysunąć się z mojej dłoni, mój świat się zmieni.

Gdybym ją wtedy trzymała z całych sił, być może wiatr, który wtedy czułam na policzku, nie zmiotłby mojego życia z powierzchni ziemi. Nie zastąpiłby go jakimś cudzym, obcym, groteskowym.

Nikt nie poruszył tematu wypadku. Tajemnicą poliszynela było, że Mariusz zabił się, jadąc pod wpływem alkoholu. Odbierałam przecież z Anną jego ciało z Zakładu Medycyny Sądowej. Prokurator nie pozostawił nam złudzeń.

W powietrzu unosił się zapach drewna, niedawno przyciętego przez sąsiada na trumnę.

Anna skupiała się na drobiazgach. Poprawiała świece, kwiaty. Przyglądała Mariuszowi włosy, które wcześniej poprawiała już kilka razy. Starła się jak najczęściej go dotykać. Niby niechący. Tylko po tej potrzebie kontaktu można było się domyślić, co przeżywa. Powierzchniowo była bardzo opanowana. Nie zauważyłam ani jednej chwili wahania, przypadkowego ruchu. Metodyczna, zimna i ciągle wyniosła. Jak ja jej wtedy nienawidziłam!

Jednocześnie czułam jej ból. Chyba tylko ja. Łączyła nas jakaś niewidzialna nić porozumienia. Beznadziejnej miłości, nigdy nieokazanej. Jaki on musiał być samotny w chwili śmierci. A może wtedy właśnie przestaje się być samotnym?

Wzięłam ze sobą Hanke, chociaż Jarek się mocno sprzeciwiał. Uważał, że nie

powinna przebywać w pobliżu trupa. „Jakiego trupa – wrzeszczałam – to mój brat”. Musiała go pożegnać. Należało mu się to. Chociaż po śmierci. Ona też musiała wiedzieć, że żegna wujka. Wujka, który ją kochał, choć jakoś pokraccznie.

Przyjechali też Jarek i moi byli teściowie. Był Janek. Odświętany, poważny. Taki dorosły... Przed samym pogrzebem przyszedł również ON. Nie widziałam go tyle lat... Był taki niepozorny i przegrany. Zupełnie nie wiem, czemu się go kiedyś bałam. Jednak jego obecność była zupełnie nie na miejscu. Mógł iść na cmentarz, na to nie miałam wpływu, ale w domu dziadka nie miał prawa przebywać. Wyprowadziłam go, całkowicie zaskoczonego, za drzwi. Anna nie zareagowała. Patrzyła na nas lekko przestraszona, ale nie podniosła się z miejsca.

Podeszłam pożegnać się z bratem ostatni raz przed zamknięciem trumny. Nie powiedziałam „żegnaj”. Nie umiałam. Z trudem przytuliłam się na kilka chwil do martwego ciała. Tak trudno uwierzyć w ostateczność śmierci.

– Mariusz, no nie wygłupiaj się – szeptałam przez łzy. – Pamiętasz letnie popołudnia i wieczory, gdy szliśmy z ojcem na spacer do lasu? Wciąż słyszę echo nawoływań taty: Maaariusz, Brutus, wracajcie. Echo szybkich kroków i perlisty śmiech chłopca, gdy pies nie chciał wypuścić z zębów aportowanego patyka. Widzę spodniki z krokiem między kolanami i zasmarkaną twarzyczkę. Dziś wiem, czemu wszyscy mówili, że jesteś słodki. Byłeś taki piękny. Cholera, taki niewinny. Wystarczyło ująć w dłoń tę brudną łapkę i poprowadzić. Poprowadzić przez życie, byś nie zagubił się w tych krętych leśnych ścieżkach.

Całe życie winię matkę. Obarczam ją odpowiedzialnością za wszystko. A gdzie był ojciec? Jakim prawem pozbawił nas siebie i przywileju normalności?

Mój wzrok ponownie spoczął na różańcu. Niemal słyszałam Mariusza, jak w przypiływie pijackiej nostalgii wspominał któregoś ciepłego wieczoru babcię: „Wiesz, najbardziej jestem wdzięczny babci, że nauczyła mnie odmawiać różaniec. Bez niego bym nie przetrwał”. Śmiałam się wtedy z niego, że zdecydowanie za dużo pije.

Co miałeś na myśli, bracie? Co chciałeś mi wtedy powiedzieć? Dlaczego nigdy nie umiałam cię słuchać? Wyjęłam ostrożnie różaniec z jego ręki, aby nie wzbudzić niczyjzego zainteresowania, i schowałam ukradkiem do kieszeni.

Na cmentarzu grała orkiestra. Były smyczki i trąbka. Anna twierdziła, że zawsze chciała mu wyprawić wesele, niestety, pompatyczny pogrzeb był jedyną uroczystością, którą mogła dla niego przygotować. Na jej prośbę odczytałam wiersz Gałczyńskiego *Prośba o wyspy szczęśliwe*, zmieniając zaimki, by odnosił się do mojego brata. Głos zdrztał mi tylko na początku, potem płynął spokojnie, jakbym śpiewała psalm:

*A ty go na wyspy szczęśliwe zawieź,  
wiatrem łagodnym włosy jak kwiaty rozwieję, zacałuj,  
ty go ukołysz i uśpij, snem muzycznym zasyp, otumań,  
we śnie na wyspach szczęśliwych nie przebudź ze snu.*

*Pokaż mu wody ogromne i wody ciche,  
rozmowy gwiazd na gałęziach pozwól mu słyszeć zielonych,  
dużo motyli mu pokaż, serca motyli przybliż i przytul,  
myśli spokojne ponad wodami pochyl miłością.*

Gdy rzucana ziemia odbijała się echem od wieka trumny, ściszałam w kieszeni różaniec. Ten drewniany amulet Mariusza. Przesuwając kciukiem po obłościach paciorków, złożyłam obietnicę. Wiedziałam, że w niej wytrwam. Byłam tego pewna jak niczego innego w życiu. Dosyć przechodzenia win z ojca na syna.

# Śmierć szósta

## rok 2014

Na imię mam Mira i jestem alkoholiczką.

Nie piję od jedenastu lat.

Moja córka ma 22 lata. Jest młodą uśmiechniętą studentką prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszka ze mną.

Jej ojciec żyje ze swoją trzecią żoną w ładnym apartamencie na Powiślu. Mają psa. Yorka.

Janek po skończonych studiach został w wojsku. Był na dwóch misjach w Afganistanie. Potem wrócił na WAT jako wykładowca. Ma dwóch synów.

Anna została sama. ON zmarł dwa lata temu na marskość wątroby. Nie chciała zamieszkać u Janka, choć wielokrotnie ją prosił. Czasem do mnie dzwoni.

\*\*\*

„Ten tydzień chyba się nigdy nie skończy”, pomyślałam. Był piątek wieczór, a ja ciągle siedziałam w wydawnictwie. Nowy projekt zrodził się na zebraniu trzy tygodnie temu i od razu zaakceptowano go do realizacji. Wszystko działo się w błyskawicznym tempie. Tłumacze dostali dwa tygodnie, my tydzień na zamknięcie korekty. Najważniejsze były co prawda figurki kolekcjonerskie, a książka to tylko dodatek, do tego niewielki objętościowo, jednak uwijaliśmy się jak w ukropie. Narzuciłam wysokie standardy w swoim dziale. To, że publikacja nie jest wysokich lotów, nie oznacza, że może ucierpieć jakość tekstu.

Coraz częściej odczuwałam swój wiek. Zwłaszcza przy takich zleceniach. Przepraszam, „projektach”. Dziś wszystko jest projektem. Dziwna ta moda. Rezygnujemy ze spuścizny wielu wieków, z bogactwa ojczystego języka na rzecz zapożyczeń czy słów wytrychów. Wydawnictwo inwestowało w takie sprzedażowe kolekcje, odpuszczając ważniejsze publikacje. W tym roku wpłynęło do nas kilka niezłych propozycji: wywiad rzeka z byłą primabaleriną Teatru Wielkiego, zbiór utworów scenicznych Bogusława Schaeffera, które w Polsce nigdy nie były publikowane, czy monografia zbiorowa polskiej sceny muzycznej, z podziałem na sekcje: operową, rockową itd. Wszystkie spotkały się z odmową. Ostatnio wydawaliśmy głównie książki kucharskie i przewodniki, z literatury pięknej same lawendowe domki, jagodowe podwórka, aleje róż itp. No i serie kolekcjonerskie! Nie



mogę zapomnieć o tym ważnym segmencie rynku. Cóż, firma jest po to, by zarabiać... Dziś Leszek Kołakowski nie miałby się z czego utrzymać.

Byłam niedawno na promocji książki, którą autor wydał własnym sumptem. Człowiek, który napisał 16 świetnych książek popularnonaukowych, rozchodzących się jak świeże bułeczki jeszcze 10 lat temu. Dziś żaden wydawca nie chciał podpisać z nim umowy, twierdząc, że nie da się zarobić na dziele traktującym o kryzysie kultury.

Wśród prelegentów byli sami znakomici przedstawiciele niedawnej elity kulturalnej. Osoby, które znałam i szanowałam przez wiele lat. Słowa, które padały z mównicy, brzmiały dla mnie jak poezja. Były pieszczotą umysłu. Dawno nie słuchałam tak pięknego i... poprawnego języka. Jednak ładunek emocjonalny, jaki ze sobą niosły, był wyjątkowo gorzki. Do tego mocno zbliżony do mojego punktu widzenia. Mówcy martwili się kondycją dzisiejszej kultury. Nie tyle celebryctwem, brakiem fachowości wśród twórców oraz ignorancją ukrywaną pod płaszczykiem arogancji, co zanikiem intelektualnej opozycji. Brakiem autorytetów, które nie bałyby się krzyczeć, że król jest nagi. Z niemałym smutkiem zauważyli, że dziś jedyną słyszalną opozycją jest ta pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu.

Wśród słuchaczy nie było nikogo młodego.

Starzeję się. Zaczynam zrzędzić jak zgorzkniali i rozczarowani ludzie. Wstyd mi za jakąś zbiorowość społeczną. I nawet nie mogę się napić ze smutku...

Może ja się już nie nadaję do życia w tej nowej rzeczywistości? Ona jest dla mnie trochę za szybka, lekko nadpsuta, jakaś pusta. Młodzi ludzie, którzy ze mną pracują, niczym mnie nie zaskakują. No może poza arogancją i swoim roszczeniowym nastawieniem do świata. Ich świata. Otrząsnęłam się z niezbyt przyjemnych refleksji i zaczęłam się zastanawiać nad swoją pozycją w firmie.

Nie byłam lubianym szefem. Na pewno mniej niż ci wyluzowani, „hipsterscy” i „kolesiowscy” – jak siebie sami nazywali – kierownicy z innych działów. Niewątpliwie zaszkodziłam sobie też przepisami, które wprowadziłam. Na przykład deklaracją o braku uzależnienia od alkoholu, narkotyków i hazardu, którą muszą podpisać starający się o pracę. Pozycję szefa działu utrzymywałam chyba tylko dlatego, że byłam niepodważalnym autorytetem językowym. Zapracowałam, poświęcając temu cały wysiłek pozostania w trzeźwości. Musiałam tę energię jakoś ukierunkować. Nauka i praca okazały się właściwym kierunkiem.

Była 21.00, a ja ciągle tu tkwiłam. Nigdzie się co prawda nie spieszyłam, Hanka była pewnie na jakiejś imprezie ze znajomymi, w końcu dla niej zaczął się już weekend, ale czułam się po prostu potwornie zmęczona. Marzyłam tylko o gorącej kąpieli i wyciągnięciu się w pościeli. Więc gdy po powrocie do domu zastałam przygotowaną kolację i Hanke z Radkiem obejmujących się przed telewizorem, jęknęłam rozczarowana.

– Jesteś już. – Poderwali się z łóżka – Czekaliśmy na ciebie.

– O! Coś się stało? – Zaskoczenie zastąpiło zmęczenie.

– Chcieliśmy z tobą porozmawiać – powiedziała Hania trochę niepewnie.

Jaka ona była inna niż jej rówieśnicy. Brakowało jej tej przebojowości, pewności siebie. Miała wszelkie podstawy, by być z siebie dumna; studiowała prawo, dostawała stypendium naukowe, posługiwała się dwoma językami biegle, a trzecim całkiem nieźle, a nie umiała tego wykorzystać. Odrobina tupetu jednak przydaje się w życiu.

– Powinam się martwić? – zażartowałam, siadając do stołu.

– Nie. Raczej nie. Ale zjedzmy najpierw kolację. Zrobić ci herbaty? Jesteś pewnie wykończona.

– Oj, tak. Oczy mi się same zamykają. Zrób, proszę, tylko jakąś łagodną. Zgaga męczy mnie od kilku godzin.

Obserwowałam ją z zainteresowaniem. Mogłam z niej czytać jak z otwartej książki. Wyraźnie się czymś denerwowała. Próbowałam odgadnąć, o co może chodzić, a mój niepokój zaczął rosnąć.

– Hanka? Popatrz na mnie! Jesteś w ciąży? – Tylko nie to, powtarzałam w myślach.

– Neeee – zaprzeczyła szybko. Uśmiechnęła się. Radek tymczasem spurpurowiał, co nie uszło mojej uwadze. – Czy zawsze musisz oczekiwać najgorszego?

– Najgorsze byłoby, gdybyś mi powiedziała, że masz jakąś śmiertelną chorobę. Ale ciąża też nie jest spełnieniem moich marzeń, to prawda – przyznałam szczerze. – Ale nie jesteś chora?

– Mamooo – przeciągnęła to słowo z pretensją. – Nie umieram i nie jestem w ciąży. Radek też nie.

– Chwała Bogu! – Odetchnęłam.

Przyglądałam im się kątem oka, dłubiąc widelcem w sałatce. Pałaszowali zawartość talerzy z niezmaconym spokojem. Uśmiechali się do siebie porozumiewawczo, ale nic nie mówili poza zdawkowymi uwagami dotyczącymi kolacji. Nie miałam wątpliwości, że ten ich sekret to musi być coś ważnego. Ta cała kolacja i nastrój.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – Nie wytrzymałam. – Przecież wiesz, że nie połknę ani kęsa w takim stanie.

– Oj, z tobą nigdy nie jest normalnie. – Zabrzmiało to raczej jak kpina, nie przytyk. – Radek dostał świetną propozycję w pracy. Miałby wyjechać na staż do centrali w Hiszpanii. Chcą, żeby po powrocie objął stanowisko kierownicze, dlatego musi się podszkolić.

– To świetna wiadomość! Gdzie haczyk? – Moje podejrzenia zaczęły przybierać konkretną formę.

Popatrzyli na siebie niepewnie. Hania zbierała się chwilę w sobie, nim wypaliła:

– No właśnie chodzi o to, że ja chcę jechać z nim... – zawiesiła głos w oczekiwaniu na moją reakcję.

– A co ze studiami? – Moje obawy się skryzalizowały.

– Wezmę rok dziekanki.

– Na prawie??? – Nie wierzyłam w to, co słyszę.

Taka beztroska może mieć tylko 22 lata.

– A co to przeszkadza? Będę miała dodatkowy rok, aby uczyć się w Hiszpanii. Przecież wrócę i wszystko dokończę.

– Haniu, błagam... – Nie wiedziałam, co powiedzieć.

„Tylko wszystkiego nie zepsuj”, strofowałam się w duchu.

– To przecież świetny pomysł! Zupełnie nie rozumiem, co masz przeciwko! – Wydęła usta.

– Co chcesz robić w Hiszpanii przez ten rok? – zapytałam z wahaniem.

Bałam się tego, co mogę usłyszeć.

– Nie wiem. Zwiedzać, opalać się... Podaruję sobie takie dłuższe wakacje. Potem to już tylko praca do końca życia. Ostatnia szansa na to, aby jeszcze zaszaleć. Przecież tylko raz jestem młoda.

– A z czego będziesz się utrzymywać? – wydukałam, próbując opanować gniew.

– Przecież Radek będzie pracował – odpowiedziała zdumiona moim wolnym kojarzeniem faktów.

– Chcesz, żeby utrzymywał cię chłopak?

– Sam jej to zaproponowałam – wtrącił szybko „chłopak”.

– Dziękuję, że masz dobre intencje – powiedziałam, zdziwiona jego obecnością. – Ale niepokoi mnie niefrasobliwość mojego dziecka. Chcesz być na czyimś utrzymaniu przez rok? – zwróciłam się ponownie do córki.

– Ojej, mogę przecież pracować – nadała się. – Tam jest zawsze praca dla kelnerek. Zwłaszcza blondynek.

– Wykluczone! – zaoponował Radek. – Nie pozwolę, żeby cię podszczytywali jacyś południowi kochasie!

– Oj, przestań. Coś na pewno znajdę. – Była wściekła, że jej nie wspiera,

– Dzieciaki, poczekajcie – próbowałam zebrać myśli. – Hanka, prawo to nie polonistyka. Nie możesz po prostu wziąć dziekanki. A ty – zwróciłam się do amanta mojej córki – powinienesz o tym wiedzieć. Jesteś od niej znacznie starszy i powinienesz jej takie pomysły wybijać z głowy. Podobno ją kochasz.

– Oczywiście, że ją kocham! – obruszył się. – Ona też mnie kocha, dlatego chcemy ze sobą być. Tak długa rozłąka nie służy związkowi.

– To tylko rok! Scementuje wasze uczucie, jeśli jest trwałe. A ona niczego nie straci.

– Halo! Jestem tu! – Hanka wydawała się zniecierpliwiona. – Bądźcie tak mili i nie rozmawiajcie o mnie w trzeciej osobie! Jestem dorosła. Samodzielnie podejmuję decyzje. A moja decyzja jest taka, że chcę jechać z Radkiem.

„Boże, dodaj sił, bo oszaleję”.

– Dobrze, jesteś dorosła. Ale to nie znaczy, że zawsze podejmujesz mądre decyzje – podjęłam jeszcze jedną próbę.

– Ale są moje. Muszę się uczyć na własnych błędach. Czy nie to mi zawsze wpajałaś? – dodała z przekąsem.

– Za niektóre błędy płaci się naprawdę wysoką cenę. Chciałabym ci tego oszczędzić...

– Wiem, mamo. – Jej głos złagodniał. Zaczęła mówić do mnie jak do małego dziecka. – Ale to nie jest błąd. Wrócę za rok i wszystko nadrobię. Zobaczysz. Nie chcę się rozstawać z Radkiem na tak długo. Nie zniosłabym tego.

Miałam ochotę przetrzepać jej tyłek. To była ta chwila, kiedy byłam skłonna złamać swoje przyrzeczenie, że nigdy nie podniosę na nią ręki. Co robić? Jak jej przemówić do rozsądku? Jak sprawić, żeby spojrzała na to z właściwej perspektywy? Tak naprawdę, to nie mogłam nic zrobić. Jeśli bym się nie zgodziła, i tak postawiłaby na swoim. A ja stałabym się wrogiem.

– Kiedy mielibyście jechać? – poddałam się.

– W czerwcu. Zaraz po egzaminach. – Uśmiechnęła się. Wiedziała, że wygrała.

– To już za dwa miesiące! Zdażysz wszystko załatwić na uczelni?

– Tak. Nie martw się, proszę. Wszystko pozałatwiam.

Zgasłam. Zupełnie straciłam apetyt. Z trudem przełknęłam nałożoną na talerz odrobinę sałatki. Czemu ludzie nie rodzą się starzy? Z całą tą wiedzą, z którą umierają. A potem mądrze przeżywają swoją młodość i dzieciństwo. Ile by to wyeliminowało błędów...

Źle jest to wszystko urządzone.

\*\*\*

Trzecią noc z rzędu nie mogłam zasnąć. Byłam wykończona.

Jak może być tak nieroztropną? Zawsze podchodziła do życia niezwykle poważnie. Nawet mnie to trochę złościło. Za bardzo przypominała w tym swojego ojca. A teraz? Wszystko, na co tak ciężko pracowała, może stracić dla jakiejś fanaberii. Nie mieściło mi się to w głowie. To do niej niepodobne.

W ogóle zmieniała się nie do poznania przy tym całym Radku. Nie poznawałam własnego dziecka.

Był od niej starszy o 9 lat, po rozwodzie. Miał syna. Myślałam, że jej imponuje, bo świetnie zarabia i jeździ sportowym samochodem. Wyobrażałam sobie, że to przestanie mieć znaczenie, gdy Hanka skończy studia i znajdzie pracę. Prawnicy nie klepią biedy. Nie traktowałam więc tego związku zbyt poważnie. Właściwie to nawet niewiele wiedziałam o chłopaku córki, oprócz tego, że zawsze jest grzeczny w stosunku do mnie, obyty, szarmancki. Odprowadzał ją pod sam dom po skończonej imprezie i nie absorbował na tyle, żeby zaniedbywała naukę. Ot, kolejny kolega. Miał za chwilę

zniknąć z jej, a przy tym i mojego, życia. Tymczasem nie tylko nie znikał, ale jeszcze zabierał mi dziecko.

Nie wiedziałam, jak z nią rozmawiać. Bałam się popełnić jakiś błąd. Tyle lat próbowałam odzyskać jej zaufanie. Wynagrodzić jej wszystko, co przeze mnie przeszła. Teraz mogłam to stracić, jeśli zachowam się nieostrożnie.

Napuściłam na nią Jarka. Słusznie podejrzewałam, że i jemu nie spodoba się ta decyzja. Zachował się dokładnie tak, jak tego oczekiwałam. Jak sama bym się zachowała, gdyby nie moje lęki i poczucie winy. Przeprowadził z nią długą i bardzo głośną dyskusję, podczas której zagroził nawet, że przestanie finansować jej studia. Na niewiele się to zdało. Powiedziała wyniośle, że nie potrzebuje jego zgody ani pieniędzy. Dodała, że nie ma prawa wtrącać się w jej życie, skoro odszedł od niej, gdy była mała. Przyznam, że miałam z tego odrobinę satysfakcji. Teraz ja byłam tym lepszym rodzicem. Mądrzejszym i bardziej ją rozumiejącym.

Wolałabym jednak wiedzieć, jak ją zatrzymać...

Wstałam, założyłam szlafrok i podeszłam na palcach pod jej pokój. Lampka na biurku ciągle się świeciła. Zapukałam i wsadziłam głowę przez szparę, nim Hanka zdążyła odpowiedzieć.

– Nie śpisz jeszcze? Jest druga w nocy.

– Wiem, ale muszę to ogarnąć do jutra. Chciałabym zdać te wszystkie egzaminy w zerowych terminach. Ale tego jest tyyyyyle. – Przeciągnęła się i ziewnęła.

Weszłam do środka i usiadłam na łóżku.

– Czego się uczysz?

– Prawa administracyjnego. Już mi się wszystko miesza.

– Odpocznij, bo nic z tego nie zostanie ci w głowie. – Poklepałam miejsce na łóżku, wskazując, by siadła obok mnie.

Przeniosła się na łóżko, podciągnęła nogi pod siebie i położyła głowę na moim ramieniu.

– Oj, mamuś! – zaszczębiotała. – Taka jestem podniecona tym wyjazdem.

– Wierzę. – Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Zaraz jednak wrócił mi grobowy nastrój. – Hanka, co ty właściwie wiesz o tym Radku?

– Ale o co ci chodzi? Wiem o nim wszystko, co powinnam. Kocha mnie, dba o mnie, chcę spędzić z nim resztę życia.

– Dobrze – z trudem przełknęłam to nagłe wyznanie – ale co wiesz o nim samym? Kim jest, skąd pochodzi, jacy są jego rodzice?

– Pochodzi z Katowic, tam mieszkają jego rodzice. Ojciec jest inżynierem czegoś tam, a matka księgową. Ale jakie to ma znaczenie? Najważniejsze jest to, kim on jest.

– A kim on jest? – nie rezygnowałam.

– Jest dobrym, ciepłym człowiekiem. Wspaniałym ojcem! Żebyś widziała, jaki ma kontakt ze swoim synem.

– Czemu w takim razie od niego odszedł?  
– No wiesz? – obruszyła się. – Kto jak kto, ale ty nie powinnaś go oceniać!  
– Postaram się. Chciałam się tylko czegoś o nim dowiedzieć. Takie doświadczenia dużo mówią o człowieku. Dlaczego właściwie się rozwiedli, wiesz coś na ten temat?  
– To ona wniosła sprawę o rozwód. On tego nie chciał. Bardzo kocha Maksia.  
– A dlaczego chciała się rozwieść?  
– A dlaczego ludzie się rozwodzą? – zaatakowała mnie. – Przestają się kochać.  
Tym nagłym wybuchem zdradziła więcej, niż chciała. Zaniepokoiliam się. Coś było na rzeczy. Coś starała się przede mną ukryć.  
– Hania?  
– Co? – Poderwała się z łóżka i siadła przy biurku. – Muszę się uczyć.  
– Powiesz mi, o co chodzi?  
– Nie wiem, co masz na myśli – burknęła, nie odwracając się do mnie.  
– Dlaczego żona od niego odeszła? – nie ustępowałam.  
Musiałam się dowiedzieć, o co tu chodzi.  
Odwróciła się do mnie zmieszana.  
– Oj, bo ty go od razu oceniasz...  
– Ja go oceniam? Jeszcze nie zdążyłam nic o nim powiedzieć.  
– Ale wiem, co sobie myślisz.  
– Co mam myśleć? Nic o nim nie wiem. Oprócz tego, że zabiera cię na koniec świata wbrew jakiemukolwiek rozsądkowi. A teraz widzę tylko, że ewidentnie chcesz coś przede mną ukryć... Miałyśmy być ze sobą szczerze. Taka była kiedyś umowa. Pamiętasz? Obiecałam, że już cię nie skrzywdzę, że wszystko naprawię, że będę z tobą zupełnie szczerza. Ja się wywiązałam ze swojej części umowy...  
– Ale nie skreślaj go od razu, dobrze? – Toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.  
– Dobrze. Obiecuję, że się postaram.  
– On miał problem z alkoholem... – wydusiła w końcu cichutko.  
Zamarłam. Dosłownie skamieniałam.  
– Ale już nie pije! Od roku nie miał alkoholu w ustach! W ogóle!  
Nie zdołałam wydobyć z siebie głosu. Chciałam coś powiedzieć, ale zupełnie nie mogłam. Mówią, że alkoholik wyczuje innego na kilometr. Co jest, do cholery? Dlaczego mój instynkt zawiódł?  
– Hanka, nie! – wydusiłam w końcu. – NIE! Rozumiesz?  
– Mówiłam, że będziesz go oceniać! Wiedziałam! Choć akurat ty powinnaś być bardziej wyrozumiała!  
– Ale nie jestem! Nie w tej kwestii! Ja wiem, co to za choroba.  
– No właśnie! Wiesz. Ja dzięki tobie też wiem. Ale ja nie oceniam ludzi, którzy chcą się zmienić. Jeśli bym tak postępowała, to tobie też nie powinnam dać szansy.  
– To co innego.

– Co innego, bo dotyczy ciebie? Co za hipokryzja!

– To nie hipokryzja, nie rozumiesz? To wiedza! Znam to cholerstwo na wylot! Alkoholikiem jest się do końca życia!

– Ale on walczy. Poradził sobie. Daj mu szansę, jak ja dałam tobie!

– Nie! Nie prosz mnie o to. W tej kwestii jestem nieugięta.

– Zatem pozostaje ci się tylko z tym pogodzić, bo ja nie zamierzam go odtrącać tylko dlatego, że kiedyś popełnił błąd!

– Błąd? Ty to nazywasz błędem? Od tego zależy twoje życie, dzieciaku! Jak myślisz, co się działo w tej rodzinie, że żona postanowiła od niego uciec z małym dzieckiem? On kłamie, rozumiesz? Mami cię kłamstwami, steruje tobą. Alkoholicy to wyrafinowani manipulatorzy!

– Wiesz coś o tym, prawda?

– Dostyc! – Uderzyłam ją w twarz.

Przerażona cofnęłam się do tyłu. Pierwszy raz w życiu podniosłam na nią rękę. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Zdumienie opóźniło jej reakcję. Chwyciłam ją za rękę i zaczęłam przeproszać, ale się wyrwała i wybiegła z płaczem z domu.

Dzwoniłam na jej komórkę do rana, ale nie odbierała.

\*\*\*

Wieczorem przyjechała z Radkiem. Bez słowa pakowała najpotrzebniejsze rzeczy, podczas gdy on stał w drzwiach, czekając, aż skończy. Nie wiem, czy był tu, aby ją wspierać, czy jako ochroniarz. Nie chciałam przy nim zaczynać rozmowy. Bałam się jednak, że jeśli Hania wyjdzie, już nie będę miała okazji.

– Musimy porozmawiać – rzuciłam w jej kierunku.

Zignorowała mnie. Dokończyła pakowanie, torby wręczyła Radkowi.

– Wyprowadzam się. Na razie zamieszkać u Radka. Potem wyjeżdżam do Hiszpanii.

– Musimy porozmawiać – powtórzyłam zrozpaczona.

– Nie mamy już o czym. – Wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Nie mogłam oddychać. Ból dusił mnie w piersi. To było jak bomba z opóźnionym zapłonem. Czy to się działo naprawdę? Czy to była moja kara, którą musiałam w końcu ponieść? Czy zdołam kiedyś przerwać to zakłęte koło? Czy moje wnuki podążą drogą moich błędów? Jak to zatrzymać?

Nigdy nie godziłam się z teorią dziedziczności. Dziedziczenia bezrobocia, alkoholizmu... Nie wierzę w fatum. Ale ten zakłęty krąg powielanych schematów zdawał się niezniszczalny.

Nie mogłam nawet zapłakać. Czułam, że za chwilę eksploduję. Nie do końca świadoma tego co robię, wybrałam numer w telefonie.

– Mamo... – Wezbrane łzy przerwały tamę bólu. – Mamo, ja już nie mogę. Już

więcej nie mogę. Nie wiem, co robić...

\*\*\*

Przyjechała następnego dnia rano. Przyjechała i już została...



## **Nota autorska**

Dziękuję wszystkim, którzy użyczyli głosu moim postaciom. Terapeucie i członkom klubu AA, których ze względu na dyskrecję nie będę wymieniać z imienia i nazwiska. Dziękuję Wam za zaufanie, jakim mnie obdarzyliście, za wiedzę, którą mi przekazaliście, i za Wasze historie, które we mnie zostaną. Nauczyliście mnie, że nie wszystko jest w życiu tak jednoznaczne, jakby wskazywały na to okoliczności.

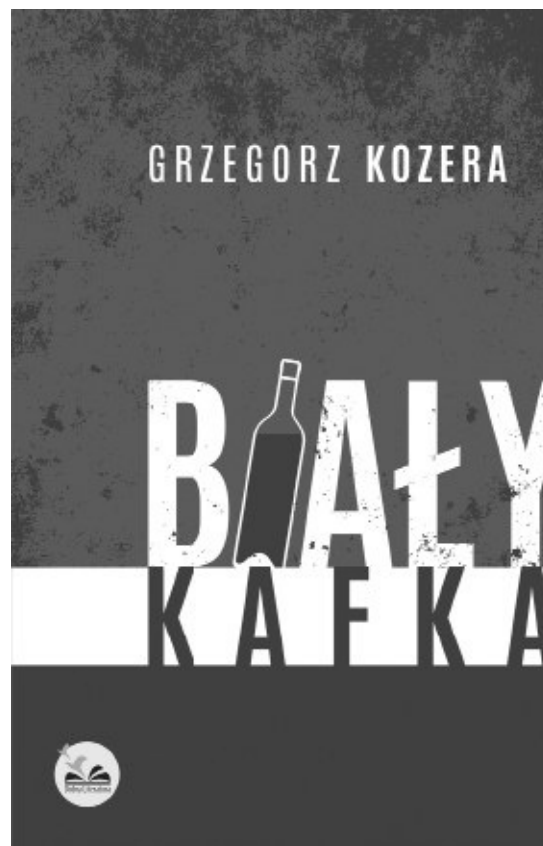
***Dobra Literatura poleca***



## **Pomyślę o tym jutro**

**Katarzyna Michalik-Jaworska**

Najtrudniejsze przypadki ciężko chorych dzieci wpisują się w codzienność Marty, trzydziestoletniej pielęgniarki na oddziale kardiologii, burząc to, w co wierzyła, i odbierając jej poczucie równowagi. Miłość, przyjaźń, małżeństwo – te słowa nabierają dla Marty nowego znaczenia. Osoby, które spotka, będą dla niej swoistym drogowskazem i inspiracją do podjęcia zaskakujących decyzji.



## **Biały Kafka**

**Grzegorz Kozera**

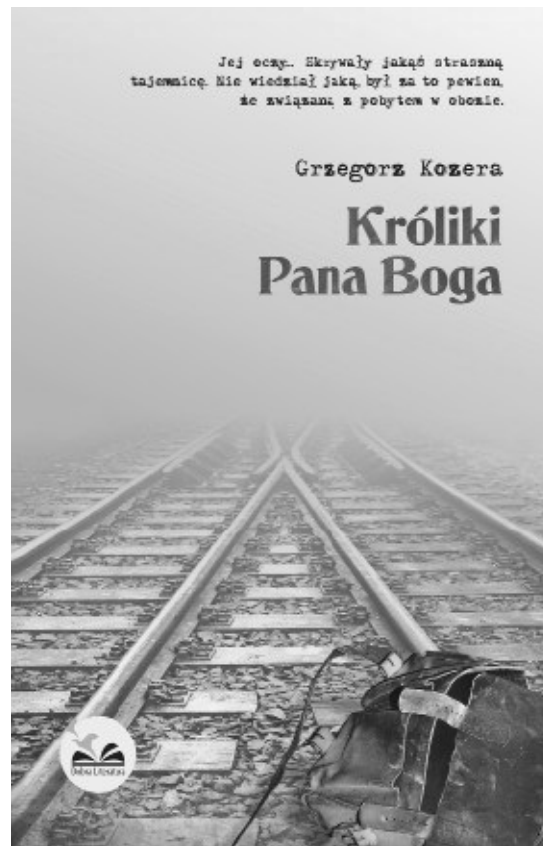
Gorzka i ironiczna opowieść o alkoholowym uzależnieniu zdegradowanego dziennikarza. Jediną wartością, która może ocalić bohatera z pijackiego piekła, jest miłość. Tylko czy w alkoholowym zatraceniu, wśród wielu spotykanych przypadkowo kobiet, bohater potrafi odnaleźć tę jedną, którą naprawdę pokocha?



## **Berlin, późne lato**

**Grzegorz Kozera**

Historia o miłości teoretycznie niemożliwej, między dwojgiem ludzi, których dzieli wszystko. Opowieść o trudnych decyzjach i ich konsekwencjach, poświęceniu, zaufaniu i bezsilności jednostki wobec totalitaryzmu.



## **Króliki Pana Boga**

**Grzegorz Kozera**

Maj 1945. Adam, Halina i Honza – rozbitkowie, którzy ocalili z wojennej hekatombi – próbują wrócić do Polski. Niemcy skapitulowały, lecz wojna tak naprawdę się nie skończyła, a świat poukładanych wartości dawno runął. Bohaterowie niejednokrotnie przekonują się o tym podczas swojej wędrówki.

„Króliki Pana Boga” są nawiązaniem do cenionej powieści Grzegorza Kozery „Berlin, późne lato”, która ukazała się w 2013 r.



**Dobra Literatura – wydawnictwo i księgarnia internetowa**

Literatura oparta na faktach, reportaż, beletrystyka, publicystyka popularnonaukowa.  
Znajdziecie u nas książki, które warto przeczytać, które inspirują i dają do myślenia,  
pozostawiając po sobie cenne ślady.

Zapraszamy do wspólnej wędrówki!

**[www.dobraliteratura.pl](http://www.dobraliteratura.pl)**

*książki wywołujące burzę emocji*